

Bartłomiej Kozłowski

Zakaz aborcji „eugenicznej” – i co dalej?

Grupa osób – z wykształcenia niewątpliwie prawników, czasem nawet doktorów, czy wręcz profesorów prawa – zwana Trybunałem Konstytucyjnym uznała 22 października b.r. że art. 4a ust. 1 pkt. 2 tzw. ustawy antyaborcyjnej (oficjalnie: [ustawy z dnia 7 stycznia 1993 r. o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży](#)), zgodnie z którym „Przerwanie ciąży może być dokonane wyłącznie przez lekarza, w przypadku gdy (...) badania prenatalne lub inne przesłanki medyczne wskazują na duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu” jest niezgodny z [Konstytucją](#). Zapadłe niedawno orzeczenie wywołało, jak wszystkim chyba wiadomo, potężne i trwające wciąż do dziś protesty. Na ulicach polskich miast było słycać i widać takie hasła, jak „wypierdalać” „grzeczne już byłyśmy” „jebać PiS” czy nawet „to jest wojna” – obok mnóstwa innych, [często faktycznie zabawnych](#). Doszło też do zdarzeń niewątpliwie godnych ubolewania – i niezgodnych z prawem – takich, jak mazanie haseł na murach kościołów i zakłócanie Mszy Św. – a z drugiej strony, ataków „kiboli” na demonstrantów. Co z tego wszystkiego będzie dalej?

Jeden skutek jest już na pewno widoczny, a jest nim spadek poparcia dla tzw. Zjednoczonej Prawicy, który – mam nadzieję – doprowadzi do tego, że straci ona władzę. Nie chcę się wypowiadać, jak szybko to się stanie – najlepiej by było, żeby jak najszybciej, oby tylko pokojowo.

W tym tekście chciałbym jednak poruszyć inny problem: jak będzie wyglądała w Polsce kwestia dopuszczalność aborcji w przypadku utrzymania się dotychczasowej linii orzeczniczej Trybunału Konstytucyjnego w dotyczącej jej sprawach i pójsia dalej wytyczoną już przez ten organ drogą.

Jak doskonale wiadomo, od 1993 r. jest w Polsce tak, że aborcja jest generalnie rzecz biorąc prawnie zakazana, a dozwolona jest tylko w pewnych określonych przypadkach - zagrożenia życia lub zdrowia kobiety, ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu lub ciężkiej i nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu, oraz ciąży powstałej na skutek przestępstwa. Przez krótki czas – w 1996 i 1997 r. dopuszczalna była aborcja ze względu na trudną sytuację życiową kobiety ciężarnej – lecz w wyroku z dnia 28 maja 1997 r. Trybunał Konstytucyjny pod przewodnictwem prof. Andrzeja Zolla uznał, że przepis pozwalający na przerwanie ciąży z takiego powodu jest niezgodny z konstytucją – tą z 1952 r. (choć znowelizowaną w roku 1989).

Ostatnio Trybunał Konstytucyjny stwierdził też, że niezgodna z konstytucją jest także dopuszczalność aborcji z takiego powodu, jak ciężkie i nieodwracalne upośledzenie płodu albo nieuleczalna choroba zagrażająca jego życiu. Główną podstawą wydania wyroku był artykuł 38 konstytucji, który mówi, iż „Rzeczpospolita Polska zapewnia każdemu człowiekowi prawną ochronę życia” – a pomocniczą art. 30, mówiący, że „Przyrodzona i niezbywalna godność człowieka stanowi źródło wolności i praw człowieka i obywatela” i dodający do tego, że „Jest ona nienaruszalna, a jej poszanowanie i ochrona jest obowiązkiem

władz publicznych”, a także 31 ust. 3, zgodnie z którym „ograniczenia w zakresie korzystania z konstytucyjnych wolności i praw mogą być ustanawiane tylko w ustawie i tylko wtedy, gdy są konieczne w demokratycznym państwie dla jego bezpieczeństwa lub porządku publicznego, bądź dla ochrony środowiska, zdrowia i moralności publicznej, albo wolności i praw innych osób” oraz że „Ograniczenia te nie mogą naruszać istoty wolności i praw”.

Przyjmijmy więc – dla dobra argumentacji – że prawne przyzwolenie na aborcję z takich powodów, jak ciężkie i nieodwracalne upośledzenie płodu bądź ciężka i nieuleczalna choroba zagrażająca jego życiu jest czymś konstytucyjnie niedopuszczalnym, choć ja osobiście uważam, że w kwestii dopuszczalności aborcji można byłoby rozumować kompletnie inaczej - można byłoby twierdzić, że prawo do usunięcia niechcianej ciąży jest prawem kobiety, wynikającym z art. 47 konstytucji, w którym mowa jest o tym, że każdy ma prawo do m.in. decydowania o swoim życiu osobistym. Chciałbym tu zauważyć, że tak właśnie rozumował Sąd Najwyższy USA, kiedy w wydanym w 1973 r. orzeczeniu w sprawie *Roe v. Wade* (https://pl.wikipedia.org/wiki/Roe_v._Wade) uznał, że prawo kobiety do przerwania niechcianej ciąży jest czymś wynikającym z gwarantowanych przez XIV poprawkę do Konstytucji USA praw do wolności i prywatności (choć to drugie prawo jest z tej poprawki raczej wyinterpretowane - zupełnie zresztą słusznie - niż zapisane w niej *expressis verbis*).

(1). Zgodnie z tym wyrokiem, kobieta ma prawo w pierwszych trzech miesiącach ciąży usunąć ją z dowolnego powodu (i, co chyba jasne, lekarz też nie może być za to karany), w kolejnych trzech miesiącach dopuszczalne są ograniczenia aborcji ze względu na ochronę zdrowia kobiety i wreszcie w ostatnich trzech miesiącach aborcja może być zakazana ze względu na konieczność ochrony życia nieurodzonego dziecka, ale musi być dopuszczalna wówczas, gdy ciąża zagraża życiu lub zdrowiu kobiety.

No, ale kurica nie ptica, Polska nie Ameryka. Tak czy owak, z chwilą opublikowania w dzienniku ustaw wyroku TK przepis tzw. ustawy antyaborcyjnej, pozwalający na aborcję w przypadku ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo ciężkiej i nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu przestanie obowiązywać. Aborcja dokonana z takich powodów stanie się więc – zgodnie z art. 152 [kodeksu karnego](#) - przestępstwem (sędzia TK Leon Kieres w swym *votum separatum* trafnie zwrócił uwagę na to, że coś takiego jest sprzeczne z zapisaną w konstytucji zasadą, że o tym, jakie czyny są przestępstwami można decydować wyłącznie w drodze uchwalania ustaw). Zachodzi jednak pytanie, co będzie dalej. Kaja Godek zapowiedziała już walką o zakaz aborcji w przypadku ciąży pochodzącej z gwałtu czy innego przestępstwa. Odnośnie przedstawionego przez nią postulatu – choć nie jestem w żadnym wypadku jego entuzjastą - chciałbym przytomnie zauważyć, że rozumowanie TK, w myśl którego aborcja nie może być dopuszczalna w przypadku ciężkiego uszkodzenia płodu, równie dobrze - o ile nawet nie lepiej – można byłoby zastosować w odniesieniu do ciąży powstałej w takim właśnie przypadku. Gdyby więc ten wyjątek od generalnego zakazu aborcji zostałby zaskarżony do TK, byłoby rzeczą praktycznie oczywistą, że również i on zostałby on uznany za niezgodny z Konstytucją - oczywiste jest też, że sejmowa większość mogłaby w sposób zupełnie *zgodny* z Konstytucją (tak rozumianą, jak rozumie ją TK) - ba, można byłoby nawet twierdzić, że w sposób konstytucyjnie *nakazany* - zmienić ustawę antyaborcyjną tak, by aborcja w przypadku ciąży pochodzącej np. z gwałtu stała się czynem karalnym.

Czy przy przyjęciu, jako słusznej, linii rozumowania TK w sprawie aborcji z przyczyn - jak to niektórzy mówią, eugenicznych, a jak określają to inni (i ja również skłaniałbym się do takiego akurat określenia) embriopatologicznych – dałoby się obronić dopuszczalność aborcji w przypadku zagrożenia życia lub zdrowia kobiety? Tych wyjątków od ogólnego zakazu przerywania ciąży jak na razie nikt, jak się zdaje, nie chce ruszać. Uzasadnienie wyroku TK również cokolwiek sugeruje, że osoby zasiadające w tym gremium dopuszczają możliwość przerywania ciąży z takich właśnie powodów. W uzasadnieniu tym zostało bowiem powiedziane coś takiego, że „Jakkolwiek duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu może wiązać się także z zagrożeniem dla życia i zdrowia matki, to jednak art. 4a ust. 1 pkt 2 u.p.r. nie odnosi się do takiej sytuacji, tym bardziej, że okoliczność takiej kolizji została wskazana jako odrębna przesłanka dopuszczalności przerwania ciąży w art. 4a ust. 1 pkt 1 u.p.r.”. Czyli, że sędziowie TK zastanawiali się nad tym, czy wymuszona prawnie kontynuacja ciąży, w przypadku której występuje ciężkie i nieodwracalne uszkodzenie płodu albo ciężka i nieodwracalna choroba zagrażająca jego życiu nie może przynajmniej czasem stanowić zagrożenia dla takich wartości jak zdrowie lub nawet życie kobiety, lecz stwierdzili, że te interesy kobiet zabezpiecza inny przepis „ustawy antyaborcyjnej”. Można więc z tego wyciągnąć wniosek, iż sędziowie TK szanują takie wartości, jak zdrowie i zdrowie kobiet i co najmniej są zdania, że aborcja w tych przypadkach, w których ciąża zagraża życiu lub zdrowiu kobiety nie musi być zakazana (co jeszcze niekoniecznie znaczy, że nie *może* być zakazana, jeżeli o zakazie aborcji z takich właśnie powodów postanowiłaby parlamentarna większość).

Ale czy na pewno sędziowie TK uważają, że aborcja w takich przypadkach, gdy ciąża zagraża życiu lub zdrowiu ciężarnej kobiety nie musi być prawnie zabroniona – albo czy inni, ewentualni, przyszli sędziowie TK nie będą mogli – powołując się na wyrok z 22.10 b.r. – uznać, że konstytucja wymusza zakaz aborcji także z takich powodów?

Odnosnie tego, dość chyba niewygodnego pytania chciałbym zauważyć jedną rzecz: taką mianowicie, że TK w swym ostatnim wyroku w sprawie dopuszczalności aborcji z powodu ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo ciężkiej i nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu powołał się na wyrok TK z 2008 r. dotyczący przepisu, który dawał ministrowi obrony narodowej prawo do podjęcia decyzji o zestrzeleniu cywilnego samolotu, także z pasażerami na pokładzie, „jeżeli wymagają tego względy bezpieczeństwa państwa, a statek został użyty do działań sprzecznych z prawem, w szczególności jako środek ataku terrorystycznego z powietrza”. Odnosnie wspomnianego tu wyroku myślę, że był on słuszny - choćby ze względu na zakres uznanej wówczas za sprzeczną z konstytucją regulacji. Pod pojęciem zagrożenia bezpieczeństwa państwa i użycia samolotu do celów sprzecznych z prawem można byłoby podciągnąć np. wykonywanie (czy w praktyce nawet tylko podejrzenie o wykonywanie) przez samolot jakiejś np. misji szpiegowskiej - oczywiście jest jednak dla mnie, że zestrzelenie pełnego ludzi samolotu z takiego powodu (jak zrobili to Ruscy w 1983 r. z południowokoreańskim Boeingiem 747, który wleciał na kilkadziesiąt kilometrów w ich przestrzeń powietrzną w rejonie Sachalinu) jest niedopuszczalne. Ale ograniczmy tu się do przypadku, kiedy faktycznie wszystko wskazuje na to, że lecący samolot zostanie wykorzystany jako narzędzie przeprowadzenia zamachu terrorystycznego. Czy w

takiej sytuacji dopuszczalne jest zestrzelenie samolotu i zabicie jakiejś liczby znajdujących się w nim ludzi, po to, by uratować innych ludzi – może nawet znacznie większą liczbę ludzi od tych, którzy lecą samolotem – na ziemi? Otóż, odnośnie tego TK uznał, że nie. Jak zostało bowiem stwierdzone we wspomnianym orzeczeniu „W opinii Trybunału, życie ludzkie nie może podlegać wartościowaniu - w tym przeprowadzanemu na podstawie kryteriów ilościowych, czy też prognoz co do długości jego trwania”. Czyli – nie można zabić niewinnych ludzi po to, by uratować innych ludzi - nawet ich większą liczbę.

Odnośnie wspomnianego powyżej wyroku można mieć wątpliwość, czy coś, czego on się tyczył, można odnieść też w jakiś sposób do aborcji. Przede wszystkim przepis, który w 2008 r. unieważnił TK upoważniał Państwo – wysokiego urzędnika państwowego, jakim jest szef MON – do podjęcia w pewnej sytuacji decyzji, w wyniku której w sposób praktycznie pewny zginą ludzie. Tymczasem w przypadku aborcji decyzji o niej nie podejmuje jakiś organ państwowy – to kobieta musi, w pierwszym rzędzie, chcieć usunięcia ciąży. Niemniej jednak, rozumowanie TK, wysnute ze wspomnianego wyroku z 2008 r. niewątpliwie jest po prostu takie, że niewinnego człowieka nie wolno zabić – bez względu na to, kto by o tym decydował – zauważmy też, że z wyroku TK w sprawie dopuszczalności zestrzelenia samolotu z pasażerami na pokładzie, odnośnie które wszystko wskazuje na to, że został on użyty do działań terrorystycznych wynika to, że nie wolno zabić niewinnych ludzi – i to, weźmy też pod uwagę, takich, którzy według wszelkiego prawdopodobieństwa i tak niedługo zginą (wskutek np. uderzenia samolotu w jakiś obiekt) – po to, by uratować nawet jakąś znacznie większą liczbę innych osób. Jakie z tego wnioski można wysnuć odnośnie aborcji? Ano, np. takie, że nie może w świetle konstytucji być dopuszczalne zabicie niewinnego człowieka, jakim w opinii TK jest znajdujący się w macicy kobiety płód, w celu ratowania życia innego człowieka, jakim jest jego matka. Tym bardziej – można rozumować – nie można dopuszczać zabicia nienarodzonego dziecka w celu ratowania zdrowia kobiety, bo zdrowie – idąc tokiem myślenia TK – to wartość jedna niższa, niż życie.

Pozostaje jeszcze jedna kwestia: czy idąc tokiem rozumowania TK da się obronić przyjętą w polskim prawie zasadę, że aborcja jest, owszem, przestępstwem, ale zagrożonym jednak znacznie niższym wymiarem kary, niż morderstwo? Obawiam się, że mógłby być z tym duży problem. Zauważmy bowiem taką rzecz: płód, według TK, jest człowiekiem, któremu Rzeczpospolita Polska musi zapewnić prawną ochronę życia – gdyby jego zdaniem nie był – a był np. jedynie potencjalnym człowiekiem, czy czymś, co stopniowo staje się człowiekiem – nie oparłby swojego wyroku na art. 38 Konstytucji. Jeśli zaś płód jest człowiekiem, to – logicznie rzecz biorąc – przysługują mu także prawa człowieka. Oczywiście, nie wszystkie – wiadomo, że np. nie prawa wyborcze, które zgodnie z samą konstytucją nabywa się dopiero w jakimś określonym wieku. Ale już np. takie, jak prawo do równego traktowania przez władze. Warto tu przytoczyć art. 32 ust.1 Konstytucji, w którym powiedziane jest, że „Wszyscy są wobec prawa równi. Wszyscy mają prawo do równego traktowania przez władze publiczne”. Co to ma wspólnego z aborcją? Otóż to, że jeśli przyjmuje się, iż płody są ludźmi – różniącymi się od innych, urodzonych już ludzi tylko miejscem swego pobytu – to nietrudno jest dojść do wniosku, że przepis, zgodnie z którym za zabijanie owych ludzi w wyniku przeprowadzania aborcji przewiduje karę niższą od tej, która jest przewidziana za zabijanie ludzi już urodzonych łamie zasadę równego traktowania wszystkich przez władze publiczne.

Można przecież twierdzić, że jeżeli władze publiczne, zgodnie z kodeksem karnym (art. 148) wsadzają kogoś, kto zabił już urodzonego człowieka na minimum 8 lat do kryminału, a maksymalnie nawet na resztę jego ziemskiej egzystencji, zaś kogoś, kto zabił człowieka jeszcze nieurodzonego na maksimum 3 lata (no, w przypadkach, gdy może on już przeżyć poza organizmem kobiety na maksimum 8 lat) to nie traktują ludzi nieurodzonych w sposób równy z urodzonymi, gdyż nie zapewniają ich życiu takiej samej ochrony prawnej. W oparciu o wspomniany przepis konstytucji – w połączeniu z uznaniem, że płód jest człowiekiem, któremu państwo musi zapewnić prawną ochronę życia – i to taką samą, jak zapewnia wszystkich innych – można byłoby też zakwestionować zasadę, zgodnie z którą kobieta nie podlega karze za aborcję. Ja nie mam oczywiście nic przeciwko tej zasadzie – w tym całym złym moim zdaniem prawie, jakie w kwestii aborcji obowiązuje od 1993 r. (trochę pisałem o tym tu <https://www.salon24.pl/u/kozlowski/518762,aborcja-radykalna-propozycja>) jest to po prostu ludzkie, humanitarne rozwiązanie. Ale patrząc się na to z perspektywy ogólnych – i raczej przez nikogo niekwestionowanych – zasad prawa karnego można byłoby uznać, że kobieta, która zwraca się do lekarza z prośbą o usunięcie ciąży, jest podżegaczką do popełnienia przestępstwa. A także pomocniczką, gdyż dostarcza osobę, przeciwko której przestępstwo ma być dokonane, na miejsce popełnienia przestępstwa. Można byłoby więc dojść do wniosku, że zasada niepodlegania przez kobietę karze za aborcję daje kobietom nieuzasadnione w świetle art. 32 ust. 1 konstytucji „fory”.

Czy więc za jakiś czas będzie tak, że aborcja będzie zakazana w Polsce z jakichkolwiek powodów i będzie za nią groziło nawet dożywocie? Tego nie wiem, logicznie rozciągając rozumowanie TK można dojść do wniosku, że do czegoś takiego powinno wręcz dojść, ale przecież nie jestem prorokiem. W każdym razie, trudno jest mieć wątpliwość co do tego, że wyrok ostatni wyrok TK w sprawie aborcji jest fatalnym i potencjalnie wyjątkowo niebezpiecznym orzeczeniem. Jest – na razie dopiero potencjalnie – fatalny z punktu widzenia jego – absolutnie przecież przewidywalnych – skutków społecznych. Będąca konsekwencją decyzji TK delegalizacja aborcji z powodów embriopatologicznych z pewnością będzie prowadziła do najróżniejszych ludzkich dramatów. Można oczekiwać wzrostu podziemia aborcyjnego, zwiększenia się liczby nieprofesjonalnie przeprowadzonych i w związku z tym niebezpiecznych dla zdrowia lub nawet życia kobiet aborcji – a życia zbyt wielu dzieci poczętych zakaz aborcji z przyczyn, o których jest mowa w wyroku TK według wszelkiego prawdopodobieństwa nie uratuje, gdyż kobiety, które tylko będzie na to stać, wyjadą tam, gdzie aborcja jest legalna – choćby do znajdujących się tuż za granicą Polski Czech – i zrobią to, co będą chciały zrobić.

Lecz przede wszystkim może jednak, wyrok TK w sprawie aborcji jest fatalny z punktu widzenia logiki. Logicznie rzecz biorąc wynika bowiem z niego to, że aborcja powinna być zakazana z jakichkolwiek powodów i zagrożona takim samym wymiarem kary, jak morderstwo. Lecz gdyby tak miało być – co byłoby, jak myślę, logicznym rozwinięciem rozumowania TK zaprezentowanego w orzeczeniu z 22 października tego roku (a bardziej pośrednio, także orzeczenia z 28 maja 1997 r. w sprawie dopuszczalności aborcji ze względu na trudną sytuację życiową kobiety) to równałoby się to wprowadzeniu rozwiązania prawnego, którego nie życzyłby sobie nikt, poza może jakąś garstką najbardziej skrajnych fanatyków. Z rozumowania, że znajdujący się w macicy kobiety płód czy embriion jest

człowiekiem, któremu polskie państwo musi zapewniać prawną ochronę życia wynikać bowiem powinno nie tylko to, że aborcja powinna być zakazana w jakichkolwiek okolicznościach i że powinna być traktowana jako zabójstwo – traktowanie aborcji w inny sposób byłoby sprzeczne z art. 32 konstytucji, który mówi m.in. że „wszyscy mają prawo do równego traktowania przez władze publiczne” – inne rozwiązanie byłoby równoznaczne z autorytatywnym stwierdzeniem przez państwo, że istnieje pewna grupa ludzi, których życie może podlegać mniejszemu stopniowi ochrony prawnej, niż życie wszystkich innych osób – lecz coś takiego byłoby ewidentnie niezgodne ze wspomnianymi przepisami konstytucyjnymi. (2) Z takiego rozumowania powinny wynikać też (w logicznym sensie – mam nadzieję, że nie stanie się to w sensie praktycznym) jeszcze inne konsekwencje w sferze prawa karnego. Przyjrzyjmy się z tego akurat punktu widzenia niektórym – póki co niemających nic wspólnego z ciążą, czy aborcją – przepisom rozdziału XIX kodeksu karnego – zatytułowanego „Przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu”. W rozdziale tym wymienione jest m.in. takie przestępstwo, jak nieumyślne spowodowanie śmierci człowieka (art. 155). I, w sumie jest tam ono całkiem słusznie. Pomyślmy sobie jednak: jak przepis przewidujący karę za nieumyślne spowodowanie śmierci człowieka mógłby być interpretowany wówczas, gdyby się naprawdę i konsekwentnie uznało, że embrión czy płód jest podlegającą pełnej ochronie prawnej osobą, różniącą się od innych osób tylko tym, że znajduje się ona wewnątrz ciała innej osoby? Otóż – logicznie rzecz biorąc - w takiej sytuacji kobieta powinna odpowiadać karnie – i móc trafić do więzienia nawet na 5 lat – z powodu takich czy innych zachowań, które w sposób nieumyślny doprowadziły u niej do poronienia. Z art. 9 par. 2 k.k. wynika, że „czyn zabroniony popełniony jest nieumyślnie, jeżeli sprawca nie mając zamiaru jego popełnienia, popełnia go jednak na skutek niezachowania ostrożności wymaganej w danych okolicznościach, mimo że możliwość popełnienia tego czynu przewidywał albo mógł przewidzieć”. Czyli, odnosząc to do sytuacji poronienia w przypadku, w którym płód byłby uznawany za podlegającą pełnej ochronie prawnej osobę, kobieta powinna podlegać odpowiedzialności karnej nawet za takie działania, odnośnie których nie zdawała sobie sprawy, że mogą one doprowadzić do utraty ciąży i śmierci nienarodzonego dziecka – jeśli tylko można byłoby stwierdzić (tzn. prokurator, a następnie sędzia coś takiego by stwierdzili), iż *mogła* sobie ona zdać sprawę z tego (tzn. była intelektualnie do tego zdolna), że potencjalnie mogą one przynieść taki właśnie skutek. Za jakie zachowania prowadzące czasem do czegoś takiego, jak poronienie kobiety mogłyby być sądzone i nawet wsadzane do więzień w przypadku uznania, że płód jest podlegającą pełnej ochronie prawnej osobą – w sposób szczególny charakteryzującą się tylko tym, że znajduje się ona wewnątrz innej osoby? Otóż, myślę, że za np. takie, jak uprawianie sportu. Albo przenoszenie ciężkich przedmiotów. Za wykonywanie stresującej pracy. Za wdawanie się w awantury z mężem czy partnerem. Albo nawet za np. oglądanie wywołujących stres filmów.

Ale na możliwości skazania, w tym nawet na karę więzienia, kobiety która w nieumyślny sposób doprowadziła u siebie do poronienia, konsekwencje uznania, że płód jest w pełni chronionym prawnie człowiekiem by się nie kończyły. W kodeksie karnym jest bowiem np. taki oto art. 160, który w swym § 1 mówi, że „Kto naraża człowieka na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3” a w § 2, że „Jeżeli na sprawcy ciąży obowiązek opieki nad

osobą narażoną na niebezpieczeństwo, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5”. Dodatkowo, z art. 160 § 3 wynika, że przestępstwo narażenia człowieka na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu może być popełnione także w sposób nieumyślny – w takim przypadku za jego popełnienie grozi grzywna, kara ograniczenia wolności albo pozbawienie wolności do roku. Przestępstwo to jest – mówiąc prawniczym językiem – przestępstwem bezskutkowym. Jego istotą jest narażenie człowieka na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia lub poniesienia ciężkiego uszczerbku na zdrowiu – nawet w sposób nieumyślny (choć w tym ostatnim przypadku zagrożone jest to niższą karą – ale odsiadka wchodzi dalej w rachubę) – nie spowodowanie któregoś z tych skutków, bo to już oczywiście podpada już pod inne przepisy k.k. Jeśli więc płód poważnie byłby traktowany jako znajdujący się wewnątrz ciała kobiety człowiek, to kobieta powinna ponosić odpowiedzialność karną za zachowania mogące bezpośrednio prowadzić do poronienia i śmierci płodu, nawet wówczas, gdyby poronienie wskutek nich nie nastąpiło i nawet wtedy, gdy nie przewidywała ona możliwości dojścia do poronienia, choć mogła sobie zdawać sprawę z możliwości dojścia do niego. Oczywiście, aby kobieta – w założonej tu sytuacji (odnośnie której mam nadzieję – i mimo wszystko raczej przypuszczam – że nigdy do niej nie dojdzie) mogła odpowiadać karnie za przestępstwo narażenia innego człowieka na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, musiałaby ona faktycznie być w ciąży – gdyby nie była, nie byłoby też kogoś, przeciwko komuś mogłaby ona popełnić wspomniane tu przestępstwo. Natomiast nie musiałoby być tak, że kobieta musiałaby wiedzieć o tym, że jest w ciąży – wystarczające byłoby to, że znajdowałaby się w takiej sytuacji, że powinna zdawać sobie sprawę z tego, iż może w niej być – czyli np. jeżeli uprawiała z kimś seks w okresie, kiedy potencjalnie może dojść do zapłodnienia (to samo, nawiasem mówiąc, odnosiłoby się do sytuacji, kiedy u kobiety, wskutek takich czy innych jej zachowań, w sposób nawet nieprzewidziany przez nią doszłoby do poronienia – odnośnie takiej kobiety można byłoby przecież twierdzić, iż mogła sobie ona zdawać sprawę z tego, że może być w ciąży). Warto też zauważyć, że osobą podejrzaną o popełnienie czy to przestępstwa narażenia człowieka na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia lub ciężkiego uszczerbku na zdrowiu czy też o przestępstwo nieumyślnego spowodowania śmierci człowieka mogłaby – w hipotetycznie założonej tu sytuacji – stać się każda kobieta, która jest w wieku rozrodczym i która zrobiła coś, co może prowadzić do poronienia: każdą taką kobietę można byłoby podejrzewać o to, że jest w ciąży lub że niedawno w niej była.

Poważne zaakceptowanie twierdzenia, że znajdujący się w ciele kobiety embrión czy płód jest człowiekiem, którego życiu państwo polskie ma obowiązek zapewnić ochronę zgodnie z art. 38 Konstytucji (i zgodnie z art. 32 taką samą ochronę jak wszystkim innym – jeżeli negujemy konieczność równości tej ochrony w przypadku płodu – to co najmniej podważamy człowieczeństwo płodu – w każdym razie na płaszczyźnie prawnej) prowadziłyby więc do niewyobrażalnego koszmaru – i czegoś, czego nie chcą – jak myślę – nawet jacyś zagorzali antyaborcyjni fanatycy (nawet Ordo Iuris proponowało w swym projekcie dotyczącym rozszerzenia zakazu aborcji, by przerwanie ciąży było dopuszczalne w przypadku zagrożenia życia kobiety i żeby maksymalna kara za jego dokonanie wynosiła 5 lat więzienia, co – jakby nie było – jest dużo niższym wymiarem kary, niż ten, który jest w polskim prawie

przewidziany za zabójstwo). Oczywiście, konsekwencje rozumowania, że płód jest zasługującym na pełną ochronę prawną człowiekiem nie powinny ograniczać się do sfery prawa karnego. Każdy człowiek, jak wiadomo, musi mieć nadane imię i nazwisko – należałoby więc nadawać imiona i nazwiska płodom – te pierwsze przynajmniej wtedy, gdy za pomocą badania USG można ustalić płeć płodu. W obecnym stanie prawnym urodzenie się dziecka musi zostać zgłoszone w urzędzie gminy – niezgłoszenie tego faktu stanowi wykroczenie. W przypadku, gdyby ludzki embriion już od najwcześniejszych swych chwili był na serio uznawany prawnie za człowieka powinien chyba istnieć prawny obowiązek zgłoszenia do odpowiedniego urzędu faktu zajścia przez kobietę w ciążę. Ponadto też, przy przyjęciu takiego założenia wiek człowieka powinien być liczony od dnia zapłodnienia, a nie od dnia narodzin (choć, zdaje się, że z ustaleniem dnia, kiedy dany człowiek został poczęty mogłyby być spore kłopoty). Zaakceptowanie tezy, że płód jest w sensie prawnym – te trzy słowa trzeba bardzo mocno podkreślić – człowiekiem prowadziłyby więc – gdyby tezę tą naprawdę na serio potraktować, do wniosków, których w praktyce zapewne nikt nie zechciałby zaakceptować - pisałem zresztą kiedyś o tym w swoim tekście (zob. <https://www.salon24.pl/u/kozlowski/518762,aborcja-radykalna-propozycja>).

Te wszystkie konsekwencje, o których powyżej wspomniałem, nie będą – to chyba oczywiste – bezpośrednim skutkiem wyroku TK w sprawie ustawy antyaborcyjnej – skutkiem tym (w sensie prawnym) będzie „tylko” zakazanie aborcji z powodu ciężkiego i nieodwracalnego uszkodzenia płodu lub ciężkiej choroby zagrażającej jego życiu. Ale rozumowanie TK zastosowane w tym wyroku może – jeśliby naprawdę konsekwentnie pójść wytyczoną przez nie drogą – w dalszej perspektywie prowadzić do takich właśnie konsekwencji. Co więc należałoby zrobić z wyrokiem TK w sprawie aborcji z przyczyn – jak to niektórzy określają – eugenicznych – a zdaniem innych (także moim) embriopatologicznych? Wydaje mi się, że o wyroku tym trzeba, niestety, powiedzieć jedno: głupi wyrok, ale wyrok. No, ale na to są już wypróbowane, jak wiadomo, metody. Może tego wyroku należałoby po prostu nie opublikować w Dzienniku Ustaw? Jak do tej pory (8 grudnia 2020 r.) wyrok ten faktycznie nie został opublikowany, mimo, że, jak mówi art. 190 ust. 2 konstytucji orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego w sprawach wymienionych w art. 188 (czyli dotyczących m.in. zgodności ustaw z konstytucją) podlegają niezwłocznemu ogłoszeniu w organie urzędowym, w którym akt normatywny był ogłoszony. „Niezwłocznemu” – to nie znaczy oczywiście, że w ciągu minuty, czy nawet godziny – ale trudno uznać, że zgodne z tym pojęciem może być nieopublikowanie wyroku TK w ciągu kilkudziesięciu dni.

Tak czy owak, skutki wydanego przez Trybunał Konstytucyjny 22 października 2020 r. wyroku mogą być tylko złe. Jego opublikowanie będzie miało tragiczne konsekwencje dla praw kobiet w Polsce – i może stworzyć precedens w kierunku jeszcze większego ich ograniczenia. Z drugiej strony, nader groźne konsekwencje może mieć też nieopublikowanie tego wyroku. Decyzje o publikacji wyroków Trybunału Konstytucyjnego – podobnie, jak decyzje o publikacji ustaw czy rozporządzeń – podejmuje jak wiadomo premier, do którego wyłącznej kompetencji należy wydawanie (przy pomocy redakcji znajdującej się w Rządowym Centrum Legislacji) Dziennika Ustaw – w którym teksty decyzji TK i aktów prawnych się ukazują.

Do niedawna publikowanie w Dz. U. wyroków Trybunału Konstytucyjnego było oczywistą oczywistością. Zmieniło się to wówczas, gdy premier Beata Szydło wstrzymała publikację w Dz.U. niektórych wyroków TK, którym wówczas kierował prof. Andrzej Rzepliński. Co prawda wszystkie te wyroki zostały w końcu opublikowane, ale niektóre z nich – uwaga – przeszło dwa lata po ich wydaniu.

Tak więc o ile opublikowanie wyroku Trybunału Konstytucyjnego w kwestii dopuszczalności aborcji z przyczyn – jak jedni chcą – eugenicznych – a zdaniem innych – embriopatologicznych – będzie miało fatalne konsekwencje dla polskich kobiet, to jednocześnie nieopublikowanie go będzie miało nader niebezpieczne konsekwencje dla całości polskiego systemu prawnego. Stworzy – lub może raczej umocni (bo podobne decyzje podejmowała już – nie udawajmy, że z własnej inicjatywy - premier Beata Szydło) – precedens, zgodnie z którym premierowi takie rzeczy robić wolno. Przyzwolenie na coś takiego jest zgodą na posiadanie przez premiera władzy, która nie ma żadnego prawnego źródła i jest *de facto* władzą dyktatorską. Jeśli premier może nie opublikować wyroku Trybunału Konstytucyjnego, to dlatego nie mógłby nie opublikować np. jakiejś ustawy – bo mu się ta ustawa nie podoba? (3) Tak czy owak, złych konsekwencji wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 r. w żaden sposób nie da się uniknąć. Można się jedynie nad tym, jakie posunięcie w sprawie tego wyroku będzie względnie najmniejszym złem. (4)

Przypisy:

- 1) Chciałbym przytomnie zauważyć, że prawo do prywatności – w sensie prawa do podejmowania takich czy innych osobistych decyzji – jest częścią prawa szerszego prawa do osobistej wolności.
- 2) Przyznam tu, na moje wyczucie, jedno: nawet gdyby aborcja została całkowicie zdelegalizowana i zrównana prawnie z morderstwem, to przypuszczam, że sądy w niektórych przypadkach uniewinniłyby osoby – np. lekarzy – oskarżonych o dokonanie aborcji – czyli w tym przypadku o zabójstwo nienarodzonego dziecka – powołując się np. na art. 26 k.k. dotyczący stanu wyższej konieczności. Sędziowie są wszak ludźmi, a nie bezmyślnie stosującymi takie czy inne paragrafy robotami. Podejrzewam jednak, że zakres niekaralności aborcji w takich przypadkach, jak zagrożenie życia kobiety mogłby być w praktyce bardzo wąski – przede wszystkim dlatego, że niebezpieczeństwo grożące, jak to jest określone w art. 26 par. 1 k.k. jakimkolwiek dobru chronionemu prawem musi być bezpośrednie – a nie tylko potencjalne. Można by więc było rozumować, że o ile zgodnie z art. 26 par. 1 czy też art. 26 par. 2 k.k. nie popełnia przestępstwa lekarz, który dokonuje przerwania ciąży w sytuacji, w której jest oczywiste, że w razie nieprzeprowadzenia aborcji kobieta niechybnie i szybko umrze, to popełnia je już jednak ktoś, kto przerywa ciążę kobiety z takiego powodu, że ciąża ta – z powodu np. jakiejś istniejącej u tej kobiety choroby – powoduje nawet znacząco większe ryzyko jej śmierci, niż u takiej, u której taka choroba nie występuje. Taka sytuacja, chciałbym zauważyć, zgodnie z obowiązującą

ustawą „antyaborcyjną” jest jedną z przyczyn dopuszczalności przerwania ciąży, aczkolwiek w takiej sytuacji zagrożenie życia kobiety w przypadku kontynuacji ciąży musi stwierdzić lekarz inny niż ten, który dokonuje aborcji.

- 3) Oczywiście, można wskazać czynniki potencjalnie mogące odstraszyć premiera od nieopublikowania w Dzienniku Ustaw jakiejś ustawy (podobnie, jak wyroku Trybunału Konstytucyjnego). Czynnikiem takimi są: możliwość odwołania premiera ze stanowiska – co zapewne chętnie zrobiłaby sejmowa większość, która przegłosowała ustawę, której to premier z takich czy innych powodów nie chciałby opublikować - dalej, możliwość oskarżenia o popełnienie przestępstwa – nieopublikowanie ustawy (podobnie, jak wyroku TK) przez premiera w Dzienniku Ustaw z powodzeniem można uznać za przestępstwo z art. 231 § k.k., zgodnie z którym „Funkcjonariusz publiczny, który, przekraczając swoje uprawnienia lub nie dopełniając obowiązków, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3” – i wreszcie możliwość postawienia go przed Trybunałem Stanu, gdzie w grę może wchodzić także odpowiedzialność karna za wspomniane przestępstwo (jeśli w uchwale Sejmu o pociągnięciu premiera do odpowiedzialności przed TS zostałyby stwierdzone, że skazanie go za przestępstwo i orzeczenie wobec niego kary przewidzianej przez kodeks karny byłoby celowe) i w przypadku skazania przez który to organ nie wchodzi w grę możliwość ulaskawienia przez prezydenta, zgodnie z art. 139 zdanie drugie Konstytucji. Lecz powiedzmy też sobie, że jakkolwiek wszystkie tego rodzaju posunięcia są – jak najbardziej – możliwe, to praktyczne ich zastosowanie może nie być sprawą prostą. Jeśli chodzi o kwestię ewentualnego odwołania premiera za stanowiska to jest to możliwe tylko wówczas, jeżeli Sejm, pozbawiając premiera i pozostałych członków rządu jednocześnie wskaże kandydata na nowego Prezesa Rady Ministrów. Może być więc tak, że sejmowa większość będzie chciała odwołać premiera... ale nie będzie zgodna co do tego, kto powinien być następnym premierem. I z *votum* nieufności nici. Jeśli chodzi o możliwość postawienia premiera przed sądem, to tu jest problem choćby taki, że o tym, czy ktoś – w tym także premier – stanie przed sądem decyduje prokuratura. A ta jest obecnie w Polsce podporządkowana Ministrowi Sprawiedliwości, a więc pośrednio Premierowi. Pamiętamy też chyba, że liczne donosy do prokuratury były składane po tym, jak w 2016 r. premier Beata Szydło odmówiła opublikowania wyroku TK uznającego nowelizację ustawy normującej postępowanie przed tym organem za niezgodną z Konstytucją – i co z tych wszystkich donosów wyszło. Nie jest też bardzo prostą rzeczą postawienie premiera przed Trybunałem Stanu: wstępny wniosek o coś takiego musi złożyć albo Prezydent, albo grupa co najmniej 115 posłów, a przegłosować musi go co najmniej 3/5 ustawowej liczby posłów – nie wystarczy więc do tego zwykła większość. Rzecz jasna, sytuacja, że premier nie publikuje w Dzienniku Ustaw jakiejś ustawy jest sytuacją mocno hipotetyczną i nie bardzo sobie wyobrażam, by sytuacja taka mogła zaistnieć w praktyce. Lecz jeszcze kilka lat temu mało kto (jeśli ktokolwiek) wyobrażał sobie, że premier może nie opublikować wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Fakt, że do czegoś takiego doszło – i pozostało to całkowicie bezkarne - otwiera potencjalną drogę do scenariusza, o jakim

tu wspomniałem. Jest to scenariusz, trzeba powiedzieć, jedynie przeze mnie wyobrażony, ale właśnie coś takiego, jak nieopublikowanie przez premiera wyroku TK potencjalnie otwiera drogę do jego realizacji.

- 4) Zdaje się, że jest jednak nienajgorsza droga wyjścia z sytuacji, jaką stworzyło orzeczenie TK uznające za niezgodny z konstytucją przepis „ustawy antyaborcyjnej” dopuszczający możliwość przerwania ciąży w przypadku dużego prawdopodobieństwa ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu za niezgodny z konstytucją – i jednocześnie nieogłaszanie – póki co - tego orzeczenia w Dzienniku Ustaw. Jaka? Otóż, po prostu – ogłosić ów wyrok... i jednocześnie uchwalić taki sam przepis, jak ten, który został uznany przez TK za niekonstytucyjny, najlepiej ze zmianą jego numeracji w ustawie. Okazuje się, że można to zrobić. Jest tak dlatego – w każdym razie tak się przyjmuje w polskiej doktrynie prawa konstytucyjnego – że orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego o niezgodności jakiegoś przepisu z Konstytucją dotyczy się tylko tego, konkretnego przepisu, w sprawie którego TK orzekał. Nie oznacza ono tego, że parlamentowi nie wolno uchwalić przepisu choćby identycznego z tym, jaki został obalony przez TK. Taka sytuacja miała jakiś czas temu miejsce z art. 218 § 1 kodeksu karnego, stanowiącym, że „kto, wykonując czynności w sprawach z zakresu prawa pracy i ubezpieczeń społecznych, złośliwie lub uporczywie narusza prawa pracownika wynikające ze stosunku pracy lub ubezpieczenia społecznego, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”. Przepis ten został w 2010 r. uznany przez TK za niezgodny z konstytucją, przy czym utrata mocy obowiązującej tego przepisu została odroczone na maksymalny czas 18 miesięcy. 31 maja 2012 r. wspomniany przepis przestał obowiązywać. Lecz... już następnego dnia wszedł w życie przepis o identycznej treści, tyle tylko, że oznaczony w kodeksie karnym nie jako art. 218 § 1, lecz jako art. 218 § 1a. Coś więc podobnego można byłoby zrobić z uznanym przez TK za niekonstytucyjny przepisem „ustawy antyaborcyjnej”. Nie byłoby to oczywiście to samo, choćby z tego względu, że w sprawie dotyczącej konstytucyjności art. 218 § 1 TK odroczył – i to na maksymalnie możliwie długi czas – wejście w życie swego orzeczenia – czego nie zrobił w przypadku wyroku dotyczącego ustawy antyaborcyjnej. Nie może tu więc nie dojść do naruszenia art. 190 ust. 2 Konstytucji, zgodnie z którym orzeczenia TK winny być ogłaszane niezwłocznie – nawiasem mówiąc, wydaje się rzeczą oczywistą, że tak długie, jak dotąd nieopublikowanie wiadomego wyroku jest naruszeniem tego przepisu. Biorąc jednak pod uwagę potencjalnie fatalne konsekwencje wyroku TK w sprawie przepisu dopuszczającego możliwość przerwania ciąży w sytuacjach, w których płód jest obciążony ciężkim i nieodwracalnym uszkodzeniem albo nieuleczalną chorobą zagrażającą jego życiu postąpienie w taki sposób byłoby najbliższe znanej każdemu maksymie „i wilk syty, i owca cała”.

Appendix

Poruszając aktualną w tej chwili w Polsce kwestię szykującego się w następstwie wyroku TK zakazu aborcji z przyczyn embriopatologicznych – czy też, jak chcą tego niektórzy – eugenicznych chciałbym też odnieść się pokrótce do tego, co jest centralną osią sporów o potrzebę prawnej dopuszczalności, czy też niedopuszczalności aborcji – a także (może w pierwszym rzędzie) o jej ocenę na płaszczyźnie moralnej: tym czymś, jak wiadomo, jest problem tego, czy płód, bądź też embriion – a nawet zygota – jest człowiekiem.

Na marginesie tego problemu – i kwestii tego, co powinno, a co niekoniecznie musi wynikać z niego odnośnie dopuszczalności bądź niedopuszczalności aborcji chciałbym zauważyć, że można w sposób mający przysłowiowe ręce i nogi argumentować, że aborcja powinna być – w jakiejś mierze, nawet sporej – choćby i takiej, w jakiej jest ona zakazana obecnie w Polsce – zabroniona – nie obstając przy tym przy twierdzeniu, że płód jest człowiekiem.

Wspominałem o tym w swym [tekście z 2013 r.](#) odwołując się do takich m.in. przykładów, jak ochrona praw zwierząt. Nie ulega żadnej wątpliwości, że np. pies, kot, koń, krowa, czy wrona nie jest człowiekiem – i że z pewnością nigdy się też nie stanie. Jest też jednak tak, że żadnego z takich zwierząt nikt nie może zabić z tego po prostu powodu, że tak mu się akurat zachciało – za zrobienie czegoś takiego grozi poważna kara i tego, że tak powinno być nikt chyba poważnie nie kwestionuje. Mógłby więc ktoś rozumować, że skoro nie wolno zabijać – bez ważnych w każdym razie ku temu powodów – psów, kotów, jeży, kretów, wron, wróbli itd. – które nie są i nigdy nie staną się ludźmi – to można też zakazać zabijania – bez w każdym razie odpowiednio ważkich przyczyn – ludzkich płodów, które nawet jeśli nie są jeszcze ludźmi, to po jakimś, niezbyt zresztą długim czasie, z bardzo dużym prawdopodobieństwem się nimi staną. Takie myślenie na temat zakazu aborcji ma, trzeba to powiedzieć, mocne strony. Przede wszystkim, taki tok rozumowania pozwala ominąć pytania tego rodzaju, jak to, dlaczego za aborcję ma grozić niższa kara, niż za zabójstwo i dlaczego aborcja w pewnych przypadkach powinna być dopuszczalna – które przy przejęciu założenia, że płód jest człowiekiem są – jak wykazywałem w tekście sprzed ponad 7 lat – cokolwiek niewygodne. Nie znaczy to jeszcze, że takie myślenie na temat zakazu aborcji – np. takiego zakazu, jaki od 1993 r. obowiązuje w Polsce – daje się w sposób ostateczny obronić. Nie da się ono, moim zdaniem, obronić z tego względu, że ewentualny interes, jaki państwo może mieć w ochronie życia płodu – nie uznawanego przy przyjęciu takiego rozumowania za człowieka (choć uznawanego za jakiegoś człowieka potencjalnego) nie może, w kraju szanującym prawa i wolności jednostki – przeważać nad prawem kobiety do prywatności i decydowania o sobie – częścią którego to prawa jest możliwość decydowania o tym, czy mieć dziecko, czy też nie.

I odwrotnie – w literaturze na temat aborcji spotkać też można twierdzenia, że aborcja powinna być prawnie dopuszczalna nawet wówczas, gdyby przyjąć, że płód od samego poczęcia jest człowiekiem. Takie rozumowanie zaprezentowała np. [Judith Jarvis Thomson](#) w napisanym w 1971 r. artykule [„A Defence of Abortion”](#). Główną przesłanką tego twierdzenia jest argument, że nikt – nawet, jeśli ponad jakkolwiek wątpliwość jest człowiekiem – nie ma prawa korzystać z ciała drugiego człowieka bez jego zgody. Wychodząc z założenia, że taka akurat argumentacja jest słuszna, w napisanym ponad 7 lat temu artykule [„Aborcja: radykalna propozycja”](#) argumentowałem, że aborcja na żądanie ciężarnej kobiety powinna być prawnie

dopuszczalna, lecz przerwanie przez kogoś innego ciąży wbrew jej woli powinno być karane tak samo, jak morderstwo.

Jednak, nie oszukujmy się – na jeden, czy też na drugi sposób o zakazie, czy też o dopuszczalności aborcji myśli prawdopodobnie stosunkowo niewielu ludzi. Klótnie o aborcję ogniskują się w dużej mierze – choć oczywiście nie tylko – wokół sporu, czy płód jest człowiekiem. Ale czy ten spór jest możliwy do rozstrzygnięcia? I czy mamy w jego przypadku do czynienia ze sporem o fakty, czy też może jedynie o interpretację faktów?

Dżentelmeni o faktach nie dyskutują – mówi znane przysłowie – a co najwyżej o ich interpretacji i o tym, co może, nie może, powinno, czy też nie powinno z nich wynikać. Choć to może nie do końca tak jest – czasem istnienie pewnych faktów samo w sobie może być czymś spornym. Ale to tylko uwaga na marginesie tego, generalnie rzecz biorąc mądrego, przysłowia.

Jakie jednak są fakty – nie budzące wątpliwości nikogo przy zdrowych zmysłach – które mogłyby pomóc rozwiązać spór o to, czy ludzki płód jest, czy też nie jest człowiekiem? Otóż, próbując „ugryźć” ten problem warto popatrzeć się na ciążę od jej końca – czyli od urodzenia dziecka – i idąc czasowo wstecz. Nikt chyba nie zaprzeczy temu, że dopiero co urodzone dziecko jest człowiekiem. Czy można wskazać jakiegokolwiek racjonalne powody do tego, by twierdzić, że to samo dziecko na godzinę, czy na dzień przed porodem człowiekiem jeszcze nie było? Próbując odpowiedzieć na tak postawione pytanie zadajmy sobie pytanie pomocnicze: czym to dziecko, które znajdowało się jeszcze w łonie swej matki niedługo przed porodem różniło się od tego, które już opuściło jej organizm? Wskazać może dwie rzeczy: jedna, to miejsce, w którym dziecko to przebywało. Drugie, to sposób jego oddychania. Dziecko do momentu urodzenia czerpie tlen z krwi matki dzięki łączącego go z nią łożysku i pępowinie. Później zaczyna oddychać płucami – choć dopiero po przecięciu pępowiny, co następuje, jak wiadomo, dopiero po urodzeniu dziecka w sensie opuszczenia przez nie organizmu jego matki. Te jednak różnice między świeżo urodzonym, a mającym się niedługo urodzić dzieckiem są – zgodzimy się chyba co do tego – nieznaczące. Byłoby więc czymś kompletnie arbitralnym określenie już urodzonego dziecka mianem człowieka, a takiego, które ma się za np. godzinę, czy za dzień urodzić nie.

I można się tak cofać w czasie przez całą ciążę, aż do jej początku. Zgodzimy się chyba co do tego, że dziecko – czy jak kto woli płód – w jakimś momencie ciąży – nie było znacząco inne, niż chwilę później. Nie ulega wątpliwości co do tego, że znajdujący się w ciele kobiety płód – a wcześniej embrion – rozwija się w sposób ciągły. I że początkiem jego rozwoju jest zapłodnienie komórki jajowej przez plemnik.

Z faktu ciągłego rozwoju embriona i płodu wysuwany bywa wniosek, że płód czy też embrion jest człowiekiem, i to od najwcześniejszych chwil swego istnienia. Czy jednak z owego – niekwestionowanego *per se* – faktu wniosek taki trzeba w jakiś konieczny sposób wyciągnąć? Otóż, aby stwierdzić, czy tak czy też nie, warto się bliżej przyjrzeć temu faktowi. Faktem, o którym tu jest mowa, jest ciągłość rozwoju embriona czy też później płodu, ale jest nim też po prostu sam rozwój – stopień i wielkość dokonujących się na przestrzeni czasu zmian. Nie ulega żadnej wątpliwości, że człowiek zmienia się w okresie prenatalnym w bez porównania większym stopniu, niż w całym późniejszym życiu. Zygota, kilkudniowy zarodek, czy kilku –

a nawet kilkunastotygodniowy płód różni się od urodzonego właśnie dziecka w nieporównanie większym stopniu, niż to dziecko różni się od dorosłego, w pełni fizycznie rozwiniętego człowieka.

Już ten fakt daje podstawy do tego, by twierdzić, iż mający – powiedzmy – dziesięć tygodni płód, czy tym bardziej np. zygota jeśli nawet jest – w jakimś sensie – człowiekiem – nikt przecież nie zaprzecza chyba temu, że w tego rodzaju przypadkach mamy do czynienia – w jakimś znaczeniu tego słowa – z ludzką istotą – to nie jest mimo wszystko takim samym człowiekiem, jak ktoś, kto już się urodził.

Lecz ktoś może podnieść to, o czym już wspomniałem, a mianowicie, że człowiek w okresie przed urodzeniem – jeśli nawet zmienia się bez żadnego porównania bardziej, niż już po urodzeniu - to zmienia się w sposób ciągły, tak, że niemożliwe jest wskazanie jakichś ostrych granic między różnymi fazami jego rozwoju – fazy te przechodzą płynnie jedna w drugą. Jeśli więc mające się urodzić za jeden dzień dziecko jest – w normalnym znaczeniu tego słowa człowiekiem – podobnie jak jest nim – w to już nikt chyba nie wątpi – dziecko właśnie urodzone, to jest nim także dziecko mające się urodzić za np. dwa dni – bo przecież nie różni się ono niczym istotnym od dziecka, które ma się urodzić za jeden dzień. A cofając się dalej, dziecko na trzy dni przed porodem z pewnością nie różni się czymś od tego, którego urodzenie ma planowo nastąpić za dwa dni. I możemy się tak cofać w czasie przez 9 miesięcy ciąży. Jeśli przyjmujemy – zgodnie ze zdrowym rozsądkiem – że będący w fazie niedługo przed porodem – płód jest człowiekiem, to kiedy możemy wskazać moment, w którym płód człowiekiem jeszcze nie jest? Zwolennicy tezy o pełnym człowieczeństwie płodu twierdzą, że takiego momentu wskazać się nie da – i w związku z tym uważają, że wszelkie próby wytyczania w tym zakresie jakichś granic – np. takich, jak istniejąca w wielu krajach granica dopuszczalności aborcji na życzenie kobiety w momencie, gdy płód ma 12 tygodni – mają charakter arbitralny.

Lecz jeśli ktoś argumentuje, że z faktu, iż mające się niedługo urodzić dziecko jest człowiekiem (bo niczym szczególnie ważnym nie różni się od dziecka już urodzonego) i z tego, że rozwój zarodka, a potem płodu przebiega w sposób ciągły wynika w sposób konieczny wniosek, że płód, zarodek, bądź choćby nawet zygota jest człowiekiem – a w każdym razie człowiekiem nie różniącym się istotnie od człowieka już urodzonego – to w tym momencie wskazać na tzw. paradoks łysego. Jest on mniej więcej taki: pewien młody człowiek miał bardzo bujną czuprynę. Jednak pewnego dnia wypadł mu z głowy jeden włos. A później drugi, a następnie trzeci, czwarty, piąty, szósty i tak dalej. Wreszcie, po iluś latach, został mu na głowie tylko jeden włos.

Utrata włosów przez wspomnianego powyżej hipotetycznego człowieka następowała stopniowo. Nie było momentu w którym w jakiejś jednej chwili, w bardzo krótkim czasie (rzędu np. sekund, godzin, czy też choćby np. dnia) straciłby on bardzo dużo włosów, tak, że można byłoby powiedzieć, że do tego momentu miał on bujną czuprynę, a tuż po nim stał się łysy. Zmiana, jaką u człowieka mającego – powiedzmy – 150 tys. włosów na głowie – powoduje wypadnięcie jednego włosa jest zmianą – co tu dużo mówić – żadną. Nikt jej w ogóle nie zauważy. Utrata kolejnego włosa też nic istotnego nie zmieni. I dalej, każdy kolejny stan polegający na zmniejszeniu się liczby włosów na głowie hipotetycznego jegomościa o jeden – czy nawet o jakąś trochę większą ich liczbę – nic, w sposób istotny w porównaniu do

bezpośrednio poprzedzającego go stanu nie zmienia. Jeśli więc człowieka mającego na głowie 150 000 włosów można nazwać człowiekiem z bujną czupryną – i podobnie też można nazwać człowieka, który ma na głowie 149 999 włosów, a dalej, również takiego, u którego liczba włosów na głowie wynosi 149 998 czy też 149 997 lub 149 996 – i nie można powiedzieć, że kolejny dalszy stan, wynikający z wypadnięcia kolejnego włosa stanowi jakąś istotną zmianę w stosunku do bezpośrednio poprzedzającego go stanu, to można byłoby dojść do wniosku, że człowiek, u którego z wcześniej bujnej czupryny został na głowie już tylko jeden włos, jest w dalszym ciągu człowiekiem mającym bujną czuprynę. Bo nic w sposób istotny się u niego nie zmieniło. Jakie, za przeproszeniem, znaczenie ma utrata jednego włosa? Czy potem drugiego?

Na zdrowy chłopski rozum można jednak powiedzieć, iż twierdzenie, że człowiek mający na głowie jeden włos jest człowiekiem mającym bujną czuprynę – bo zachodzące u niego zmiany polegające na wypadaniu kolejnych włosów były - w każdym razie *per se* – nieistotne, jest bzdurą. Kogoś, kto ma na głowie jeden włos z pewnością określimy mianem człowieka łysego – tak samo, jak określimy w ten sposób człowieka nie mającego na głowie żadnych włosów – i jak również określimy takim mianem człowieka mającego na głowie włosów – powiedzmy – 5, 10, 15, czy 20. To prawda, że – wracając do kwestii procesu stopniowego wypadania włosów u wspomnianej tu hipotetycznej osoby – mogą czasem wystąpić problemy z określeniem jej stanu owłosienia. Nie ma dokładnej, sztywnej, bezspornej granicy między byciem łysem, a nie byciem łysem. Są tu jakieś stany pośrednie. Niemniej jednak, nie ulega wątpliwości, że człowiek mający na głowie włosów np. 5, 20 czy też 50, bądź nawet 100 (czy jeszcze trochę większą ich liczbę) jest człowiekiem w praktycznym znaczeniu tego słowa łysem. Zaś jeśli chodzi o pośrednie stadia między posiadaniem bujnej fryzury i byciem (w praktyce przynajmniej) łysem to można mówić np. o tym, że ktoś jest np. lekko wyłysiały. Albo, że jest już mocno wyłysiały. Albo, że jest już po prostu łyśy – co nie oznacza zmniejszenia ilości włosów na głowie do dokładnie zera, tylko do jakiejś niewielkiej ich liczby.

Jak jednak poruszony tu problem paradoksu łysego ma się do kwestii tego, czy ludzki płód, embriion bądź choćby zygota jest człowiekiem – i, bardziej pośrednio – także do kwestii dopuszczalności bądź niedopuszczalności aborcji? Jak powyżej wskazałem, choć można, przy użyciu tzw. paradoksu łysego dowodzić, że człowiek u którego z obfitej wcześniej czupryny został tylko jeden włos jest w dalszym ciągu człowiekiem z obfitą czupryną, to dla każdego jest chyba jasne, że to twierdzenie jest bzdurą. Każdy rozsądnie myślący człowiek stuknie się w czoło, gdy je usłyszy (przynajmniej, jeśli nie przedstawi mu się wcześniej całego wywodu, w którym nie chodzi przecież o to, by w sposób poważny przekonać kogoś do takiego twierdzenia). Lecz o ile bez żadnego trudu powiem, że twierdzenie, iż mający jeden włos na głowie człowiek ma bujną czuprynę (bo wcześniej faktycznie ją miał, zaś zmiany prowadzące do tego, że ze wszystkich włosów na głowie został mu tylko jeden były – jako brane pod uwagę każda z osobna – nieistotne, czyli że nic w zakresie posiadania przez niego bujnej czupryny się tak naprawdę nie zmieniło) jest kompletną bzdurą, to nigdy nie ośmieliłbym się nazwać bzdurą twierdzenia, że kilkutygodniowy ludzki płód, czy choćby nawet zapłodniona komórka jajowa jest człowiekiem. Ale o ile nie ośmielę się takiego twierdzenia nazwać bzdurą – tzn. czymś bez sensu – to ośmielę się mimo wszystko powiedzieć jedno – a

mianowicie to, że jeśli ktoś wypowiada twierdzenie, iż mający kilka tygodni płód, czy choćby nawet zygota jest człowiekiem – to wyraża on *pogląd*. Jest to – trzeba powiedzieć – pogląd mający przysłowiowe ręce i nogi – w postaci oparcia go na pewnych bezdyskusyjnych *per se* faktach. Lecz mimo wszystko jest to pogląd, a nie proste stwierdzenie faktu.

Tu mógłby ktoś jednak powiedzieć coś – np. – takiego: no dobrze, przyjmijmy, iż twierdzenie, że ludzki embrion od pierwszych chwil swego istnienia jest człowiekiem stanowi wyraz pewnego poglądu – nie stwierdzenie prostego i możliwego do udowodnienia w sposób naukowy faktu. Lecz prawo opiera się na poglądach. W demokracji jest tak, że o tym, jaki będzie kształt prawa decydują poglądy tych, którzy na skutek wygrania uczciwych, zapewniających każdemu zainteresowanemu równe prawo zaprezentowania swojego głosu wyborach zdobyli większość miejsc w parlamencie. Z jakiej więc racji kształt prawa dotyczącego aborcji nie może się opierać na poglądach tych, którzy uważają, że ludzki zarodek od pierwszego momentu swego istnienia jest już człowiekiem, jeśli to właśnie ludzie o takich poglądach wygrali wybory?

Lecz odnośnie tego pytania powiem tyle, iż uważam, że są poglądy lepsze i gorsze. Broń Boże nie w takim sensie, by propagowania tych drugich zabronić. Każdy, kto trafił przypadkiem na [moją stronę internetową](#) czy też na [mój blog](#) i choćby pobieżnie przejrzał coś, co tam umieściłem, musiał się zorientować, że jestem zwolennikiem nadzwyczaj szerokiej wolności słowa – nie jestem za zakazywaniem głoszenia jakichkolwiek poglądów, łącznie z poglądami rasistowskimi, faszystowskimi, homofobicznymi, satanistycznymi (choć na ten ostatni temat nie konkretnie nie pisałem – pewnie dlatego, że polskie prawo nie zakazuje propagowania satanizmu i nie słyszałem o pomysłach, by czegoś takiego zabronić), czy obrażającymi wszelkie możliwe świętości. Lecz o ile uważam, że nie ma takich poglądów, których propagowanie powinno być karalne czy też cenzurowane, to jednocześnie uważam, że są poglądy, które nie powinny wpływać na realny kształt polityki państwowej. Gwoli ilustracji: ktoś, mający rasistowskie poglądy powinien móc wyrażać – w sensie niekarania go przez aparat państwowy za coś takiego – opinię, że jakaś grupa rasowa czy narodowościowa to podludzie i że powinni oni wykonywać tylko najgorzej płatne prace fizyczne, albo nawet być niewolnikami – lub wręcz, że należałoby ich wymordować. Lecz o ile ktoś powinien móc bez narażania się na odpowiedzialność karną głosić tego rodzaju poglądy, to jednak poglądy te bardzo zdecydowanie nie powinny wpływać na ustawodawstwo czy praktyczny kształt polityki państwowej. Członkowie grupy, którą hipotetyczny rasista nazywa podludźmi i propaguje dyskryminację, bądź nawet przemoc przeciwko nim, powinni mieć zapewnione takie same szanse, jeśli chodzi o szkolenie, zdobycie zawodu, awans w pracy, dostęp do takich czy innych usług itd. jak wszystkie pozostałe osoby w społeczeństwie. Jeśli chodzi o zapewnienie członkom takiej grupy owych szans, to nie mam absolutnie nic przeciwko ustawodawstwu anty-dyskryminacyjnemu w rodzaju np. amerykańskiej Ustawy o Prawach Obywatelskich z 1964 r. Oczywiście też aparat państwowy powinien chronić członków takiej grupy przed przemocą – nie ograniczając jednak, w każdym razie w stopniu większym, niż jest to naprawdę niezbędne dla osiągnięcia takiego celu – wolności słowa (w niektórych tekstach na [swojej stronie internetowej](#) oraz [blogu](#) wskazywałem na nieskuteczność zakazów „mowy nienawiści” jako narzędzi powstrzymywania rasizmu, antysemityzmu, ksenofobii, homofobii i mogącej wynikać z tych zjawisk przemocy).

Czy jednak poglądy tych, którzy uważają że płód czy też embrion od pierwszego momentu swego istnienia jest człowiekiem – w domyśle: człowiekiem zasługującym na ochronę prawną w postaci zakazu aborcji – można zakwalifikować do poglądów, które w szanującym wolności i prawa jednostki państwie nie powinny wpływać na kształt realnej polityki państwowej? Odnośnie tego akurat pytania powiem tyle, że nigdy nie ośmieliłbym się porównać ludzi, których określa (czy też określało się) mianem obrońców życia poczętego, obrońców życia nienarodzonych itp. do np. rasistów, czy faszystów. Ludzie o których tu akurat chodzi w wielu przypadkach (choć oczywiście, z pewnością nie wszyscy z nich) są przywiązani do idei praw człowieka i wierzą w to, że postulując zakazanie aborcji bronią tych najsłabszych. Zauważmy, że historia praw człowieka w dużej mierze polegała na stopniowym (czy też czasem jednak skokowym) rozszerzaniu tych praw na grupy, które uprzednio były ich pozbawione. W dawnej Polsce prawa polityczne posiadała – przynajmniej w skali ogólnokrajowej – tylko szlachta. Mieszczanie posiadali je tylko w ograniczonym zakresie – istniał samorząd miejski (do którego, na ile się orientuję, nie było powszechnych i równych wyborów) – zaś chłopci pańszczyźniani byli ich kompletnie pozbawieni – nie cieszyli się oni nawet zwykłą wolnością osobistą, która przysługiwała mieszczanom. Później jednak prawa, o których mowa, zostały rozciągnięte na grupy, które były ich wcześniej pozbawione. Podobnie, w Stanach Zjednoczonych takie prawa, jak prawa wyborcze przysługiwały na początku wyłącznie białym mężczyznom (i to do tego odpowiednio bogatym) – osoby należące do innych grup, takich, jak kobiety, Indianie, czy Murzyni tych praw nie posiadały (nie mówiąc już o tym, że członkowie ostatniej wspomnianej tu grupy byli najczęściej niewolnikami). Później jednak osoby te zyskały takie same prawa, jak te, które przysługiwały wcześniej białym mężczyznom. Od dłuższego już czasu coraz większą popularność zyskują idee praw zwierząt, a więc istot niebędących i niemogących stać się ludźmi. Na temat tych ostatnich idei nie ma co tu szczególnie dyskutować – wiadomo, że są bardziej skrajni i mniej skrajni obrońcy praw zwierząt – ale jest czymś powszechnie akceptowanym to, że nie wolno zabijać zwierząt bez usprawiedliwiających to w dostateczny sposób powodów (nawet właściciel zwierzęcia bez takich powodów nie może czegoś takiego zrobić) i że nie wolno znęcać się nad nimi. Niektórzy „obrońcy życia poczętego” – zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych – uważają, że nienarodzeni są grupą, która jest obecnie dyskryminowana – tak samo, jak kiedyś byli Murzyni, czy Indianie albo kobiety – i w związku z tym należy zakończyć ich dyskryminację, tak jak zakończono – przynajmniej w sensie prawnym – dyskryminację tamtych grup.

Wskazane powyżej rozumowanie (pomińmy mogące wynikać z niego problemy – takie np. jak to, czy za aborcję powinna grozić dokładnie taka sama kara, jak za morderstwo – była już o nich mowa wcześniej w tym tekście) niezaprzeczalnie ma swoją logikę. Lecz kogoś, kto takie rozumowanie ewentualnie prezentuje warto się spytać o jedno: co jest uzasadnieniem praw człowieka, czy nawet praw zwierząt (choć w tym ostatnim przypadku chodzi o prawa ograniczone, także, jeśli chodzi o prawo do życia – przecież nie jest tak, że zwierząt w ogóle nie wolno zabijać – nie wolno ich tylko zabijać ot, tak sobie i w sposób okrutny) które ktoś taki chciałby rozciągnąć na płody, embriony, czy choćby zygoty? Otóż, uzasadnieniem tych praw (mówimy tu tylko o prawach elementarnych, takich, jak prawo do życia i wolności od okrutnego traktowania – nikt przecież w odniesieniu do nienarodzonych nie wszczyna

dyskusji o prawie takich – jego zapewne zdaniem – ludzi do wyrażania swoich poglądów i zapisywania się do wybranych przez siebie organizacji) z pewnością jest to, że organizmy (przepraszam tu za wyrażenie – ale nikt nie zaprzeczy, że zarówno człowiek, jak i zwierzę, jak i płód jest organizmem), o którym była mowa w tym akapicie są istotami czującymi – mogącymi cierpieć z powodu tego, co się z nimi dzieje. Lecz tej zdolności – trzeba to wyraźnie powiedzieć - brakuje jednak embrionom czy płodom, przynajmniej do jakiegoś momentu ich życia.

Taką zdolność bez żadnych jednak wątpliwości kobiety – także te będące w ciąży, i oczywiście także te będące w ciąży, która jest przez nie z takich czy innych powodów nie chciana. Dlaczego cierpiąca z powodu bycia w niechcianej przez siebie ciąży kobieta miałaby nie móc w sposób legalny przerwać tej ciąży, co – powiedzmy – kilkutygodniowemu płodowi nie sprawiłoby żadnego bólu czy strachu?

Ktoś będący zwolennikiem rozciągnięcia praw człowieka na płody powiedziałby zapewne – bo to też jest człowiek, w dodatku bardzo mały, słaby i bezbronny.

Lecz tego rodzaju opinii – na rzecz której da się – zgoda co do tego - przedstawić w miarę sensowne argumenty – trzeba przeciwstawić fakty. Jak już wcześniej wspomniałem, twierdzenie, że płód czy też embrion jest człowiekiem jest wyrażaniem opinii – poglądu. Jest to pogląd, który można w całkiem sensowny sposób uzasadnić (nikt chyba nie zaprzeczy, że początek życia człowieka jako biologicznie odrębnej jednostki daje zapłodnienie) ale który jest mimo wszystko tylko poglądem. Natomiast nie jest poglądem, tylko faktem – którego istnienie (a może nie istnienie) trudno byłoby podważyć w jakiś sensowny sposób to, że ten – założmy dla dobra argumentacji – człowiek do pewnego momentu swego istnienia – odnośnie którego istnieją pewne spory, kiedy on następuje – ale obecnie naukowcy mówią o okresie gdzieś po 20 tygodniu ciąży – nic kompletnie nie czuje, w żaden, najbardziej nawet elementarny sposób nie zdaje sobie sprawy ze swego istnienia. Kilkutygodniowemu płodowi to, czy zostanie on usunięty z macicy kobiety w następstwie aborcji i w wyniku tego działania pozbawiony życia, wyrażając się cokolwiek kolokwialnie, dokładnie wisi. To chyba też jest za dużo powiedziane, bo takiemu organizmowi, jak mający kilka czy choćby nieco więcej tygodni płód to, czy zostanie on zabity wskutek aborcji nawet nie jest w stanie – za przeproszeniem – wisieć.

Coś takiego natomiast z pewnością nie wisi kobiecie, która jest w niechcianej przez siebie ciąży. Zgodzimy się chyba z tym, że tego rodzaju sytuacja może być dla kobiety prawdziwym koszmarem? I oczywiście, pewnego rodzaju super-koszmarem może być dla kobiety sytuacja, kiedy jest ona w ciąży pochodzącej np. ze zgwałcenia albo takiej, w wyniku której – jeśli ciąża ta nie zostanie przerwana – urodzi się zdeformowane, niezdolne do przeżycia, czy nawet mogące żyć, lecz ciężko chore czy kalekie dziecko.

Jeśli jest tak, że embrion czy płód nic nie czuje – w żaden sposób nie cierpi – na skutek aborcji, zaś niechciana ciąża – a w szczególności już ciąża powstała np. wskutek gwałtu czy taka, odnośnie której istnieją przewidywania, że urodzi się po niej upośledzone dziecko – może stanowić dla będącej w niej kobiety autentyczny koszmar, to zmuszanie kobiety do pozostania w takiej ciąży stanowi – można tak w każdym razie twierdzić – okrutne i nieludzkie traktowanie – czego zabrania art. 40 polskiej Konstytucji, a także art. 7

uchwalonego w 1966 r., a ratyfikowanego przez Polskę w 1977 r. [Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych](#), oraz art. 3 pochodzącej z 1950 r. zaś ratyfikowanej przez Polskę w 1993 r. europejskiej [Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności](#).

Warto zauważyć, że w ogólnie akceptowanej doktrynie praw człowieka zakaz okrutnego, nieludzkiego czy poniżającego traktowania jest – podobnie, jak zakaz tortur (poniekąd z pewnością i tak mieszczących się w zakresie takiego pojęcia, jak traktowanie okrutne) za zakaz obowiązujący bezwzględnie, w każdych okolicznościach. W każdym razie, polska konstytucja nie pozwala na uchylenie obowiązywania tego zakazu nawet w przypadku wprowadzenia stanu nadzwyczajnego – takiego, jak stan wyjątkowy czy choćby stan wojenny – (zob. art. 233), podobne postanowienia zawierają Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych (art. 4 ust. 2) i Europejska Konwencja Praw Człowieka (art. 15 ust. 2).

Okrutne i nieludzkie traktowanie zgodnie z polską konstytucją oraz ratyfikowanym i obowiązującym w Polsce prawem międzynarodowym nie może być dopuszczalne w żadnej sytuacji. Lecz oczywiście zadać można w tym kontekście pytanie, co jest takim – zawsze konstytucyjnie (i z punktu widzenia prawa międzynarodowego) nielegalnym okrutnym i nieludzkim traktowaniem? Zadając to pytanie można wejść w dyskusję na najróżniejsze – często bardzo dalekie od problemu dopuszczalności czy też niedopuszczalności aborcji tematy. Czy okrutnym i nieludzkim traktowaniem może być skazanie kogoś – nawet za wyjątkowo ciężkie i okrutne (*właśnie*) przestępstwo – na taką karę, jak dożywotnie więzienie – szczególnie wówczas, gdy prawo nie przewiduje żadnej możliwości skrócenia tej kary – co oznacza, że człowiek skazany za zbrodnię, której dokonał w wieku lat, powiedzmy, 20, będzie musiał gnąć w kryminale lat choćby 80 – jeśli jeszcze tyle, co jest przecież rzeczą możliwą, przeżyje? Czy za okrutne i nieludzkie traktowanie można byłoby uznać skazanie kogoś na wysoką karę (choć niekoniecznie taką, jak dożywocie) za czyn wprowadzie zakazany prawem – i konstytucyjnie *per se* niechroniony (a więc niebędący przejawem korzystania z np. wolności słowa, religii, zgromadzeń czy zrzeszania się – w tych przypadkach wchodzi w grę inne rozważania) lecz wyrządzający mało szkody bądź w ogóle nieszkodliwy? To są tematy, na które można by w kontekście zapisanego w polskiej konstytucji oraz w prawie międzynarodowym zakazu okrutnego i nieludzkiego traktowania oraz karania debatować, ale w dyskusję na ich temat nie ma co oczywiście tu wchodzić, bo są one odległe od poruszonego tu problemu, jakim jest to, czy aborcja powinna być prawnie dopuszczalna czy też nie. Zadajmy więc sobie pytanie: co, na zdrowy rozum, można byłoby uznać za okrutne i nieludzkie traktowanie w kontekście zakazu aborcji w różnych, możliwych sytuacjach? Czy byłby okrutnym i nieludzkim traktowaniem zakaz aborcji w sytuacji, kiedy kobieta z powodu jej nieprzeprowadzenia może umrzeć? Moim zdaniem absolutnie i bezdyskusyjnie tak. Byłby okrutnym i nieludzkim traktowaniem zakaz przeprowadzenia aborcji wówczas, gdy kobieta wprowadzie najprawdopodobniej przeżyje, ale straci zdrowie – oślepnie, zwariuje, zostanie sparaliżowana, bądź jeszcze coś innego złego się z nią stanie? Moim zdaniem dokładnie tak samo, jak w poprzednim przypadku. Byłoby okrutnym i nieludzkim traktowaniem zakazanie dokonania aborcji w przypadku, gdy płód obarczony jest jakąś letalną wadą, albo nawet wadą, która nie spowoduje jego śmierci niedługo po porodzie, ale sprawi, że urodzone dziecko

będzie przysłowiową żywą rośliną, fizyczną kaleką, bądź kimś, kto swym poziomem umysłowym nigdy nie wzniesie się ponad poziom kilkuletniego dziecka? Według mnie absolutnie tak, gdyż zmuszanie kobiety będącej w ciąży, z której ma się urodzić takie właśnie dziecko, byłoby zmuszaniem jej do bycia bohaterką. A zmuszanie ludzi do bycia bohaterami za pomocą zakazów czy nakazów prawnych z pewnością jest traktowaniem ich w sposób okrutny i nieludzki. Czy byłoby okrutnym i nieludzkim traktowaniem zakazanie przeprowadzenia aborcji u kobiety, która jest w ciąży z tego powodu, że została zgwałcona? Moim zdaniem również.

Jednak, choć na mój – i przypuszczam, że nie tylko mój – rozum zakaz aborcji stanowi w pewnych sytuacjach okrutne i nieludzkie traktowanie, którego zabrania art. 40 polskiej Konstytucji i art. 7 MPPO i P, to miałbym wątpliwość, czy stanowi on takie właśnie traktowanie w jakiegokolwiek sytuacji. W szczególności takiej, kiedy np. regularnie uprawiająca seks kobieta nie robiła nic, żeby nie zajść w ciążę, albo – co gorsza, chciała w nią zajść – lecz potem coś jej się odwidziało – a ciąża nie zagraża jej życiu, ani zdrowiu, nie pochodzi z przestępstwa ani też nic nie wskazuje na możliwość urodzenia się upośledzonego dziecka. Można byłoby uznać za okrutne i nieludzkie traktowanie kobiety uniemożliwienie jej (wskutek zagrożenia pociągnięciem do odpowiedzialności karnej lekarza – wiadomo, że taka groźba nie zawsze działa – ale teoretycznie rzecz biorąc tak ma to wyglądać) poddania się aborcji w celu usunięcia takiej właśnie ciąży?

Ja w to osobiście cokolwiek wątpię – choć nie jest tak, że byłbym stuprocentowo przekonany, że zakazu aborcji również w takich sytuacjach nie można byłoby uznać za traktowanie okrutne i nieludzkie. Powiem jednak, dlaczego miałbym wątpliwość co do uznania zakazu dokonania aborcji jedynie z tego powodu, że kobieta nie chce być w ciąży za traktowanie kobiety w sposób okrutny i nieludzki. Otóż, mam taką wątpliwość z tego powodu, że aby jakieś postępowanie wobec innej osoby można było uznać za okrutne i nieludzkie, to stopień okrucieństwa tego postępowania musi przekraczać pewien próg – na temat stopnia którego, tzn. tego, jaki ma to być próg – można byłoby oczywiście dyskutować. Jednak co do tego, że jakiś próg okrucieństwa musi zostać przekroczony po to, by takie czy inne postępowanie mogło być w sensie konstytucyjnym czy w sensie prawa międzynarodowego (z którym polska konstytucja jest w tej kwestii praktycznie identyczna) uznane za postępowanie okrutne i nieludzkie nie ma wątpliwości. Uświadomić to sobie można np. na przykładzie więzień. Czy wsadzenie kogoś na ileś np. lat do więzienia jest traktowaniem go w sposób okrutny? Można argumentować, że tak – bo da się przecież twierdzić, że okrutnym jest pozbawienie człowieka – zwłaszcza na długi czas - jego osobistej wolności. Ale myślę mimo wszystko, że większość z nas nie uzna wsadzania przestępców (takich, jak mordercy, bandyci, złodzieje, gwałciciele, oszuści itp.) do więzień za traktowanie ich w sposób okrutny z tego m.in. powodu, że takie właśnie postępowanie z takimi osobami nie przekracza pewnego stopnia – poziomu – okrucieństwa (oczywiście, jeśli osoby takie są za kratkami traktowane w sposób humanitarny). Podobnie, można byłoby twierdzić, że z innym stopniem okrucieństwa możemy mieć do czynienia w przypadku zakazywania aborcji nawet w takiej sytuacji, kiedy kobieta z powodu jej nieprzeprowadzenia mogłaby umrzeć albo w sposób trwały stracić zdrowie, a z innym – na zdrowy rozum bez porównania mniejszym – gdy zakazuje się

dokonania aborcji z tego po prostu i wyłącznie powodu, że kobieta nie chce być w ciąży i mieć dziecka.

Lecz warto zauważyć, że konstytucja i przepisy prawa międzynarodowego zabraniają nie tylko takiego postępowania z ludźmi, które jest okrutne i nieludzkie, ale również takiego, które jest poniżające. Pojęcie postępowania poniżającego w oczywisty sposób nie może oznaczać tego samego, co pojęcie traktowania okrutnego, czy nieludzkiego (odnośnie tego drugiego miałbym wątpliwość co do tego, czy chodzi tu o postępowanie które jest okrutne lub nieludzkie – czy tylko takie, które jest okrutne i nieludzkie? To może nic być – czasem przynajmniej – to samo). Próg tego, co jest postępowaniem „poniżającym” jest – na zdrowy rozum – zdecydowanie niższy niż ten, który musi zostać przekroczony, aby jakieś postępowanie mogło zostać uznane za okrutne i nieludzkie. Ogólnie rzecz biorąc, pod pojęciem traktowania poniżającego należy rozumieć takie traktowanie człowieka, które ma charakter upokarzający i nieliczący się z jego godnością.

Co może być takim właśnie poniżającym – choć niekoniecznie już „okrutnym i nieludzkim” traktowaniem kobiety w kontekście zakazu aborcji? Otóż, aby sobie uświadomić, jaka regulacja prawna dotycząca przerywania ciąży może skutkować poniżającym traktowaniem kobiet wyobraźmy sobie względnie liberalne – w porównaniu z tym, co obecnie obowiązuje w Polsce – prawo aborcyjne, zgodnie z którym kobieta może poddać się zabiegowi aborcji z takiego powodu, jak jej sytuacja życiowa, ale zgodę na coś takiego musi wyrazić specjalna komisja. Twierdzenie, że zmuszanie kobiet, które nie chcą mieć dziecka – i w związku z tym chcą przeprowadzenia u nich aborcji – do stawiania się przez jakąś tam komisją jest czymś *per se* okrutnym i nieludzkim byłoby – na moje wyczucie – raczej lekką przesadą. Ale czy w przypadku zmuszania kobiet do czegoś takiego nie można byłoby już mówić o traktowaniu ich w sposób poniżający? Wyobraźmy sobie sytuację, że chcąc usunąć niechcianą ciążę kobieta stawia się przed taką komisją. Komisja nie wydaje oczywiście zaświadczenia koniecznego do legalnego przeprowadzenia zabiegu aborcji w sposób automatyczny, lecz, aby orzec o tym, czy zabieg jest prawnie dopuszczalny przygląda się takim sprawom, jak warunki życia ciężarnej kobiety, a także np. to, dlaczego zaszła ona w ciążę – i co ewentualnie zrobiła, aby w nią nie zajść. Albo np. dlaczego, skoro początkowo chciała zajść w ciążę, to dlaczego jednak nie chce mieć dziecka? Pojawia się tu więc następujące pytanie: czy rozpytywanie się chcącej poddać się zabiegowi aborcji kobiety o takie sprawy, jak np. to, w jakie dni swego cyklu menstruacyjnego uprawiała ze swym mężem, czy też partnerem seks bez żadnego zabezpieczenia, czy zdarzały się u niej jakieś „wahnięcia” owego cyklu albo o stosowane środki antykoncepcyjne nie stanowiłoby traktowania tej kobiety w sposób poniżający? Na mój rozum absolutnie tak, i sądzę, że odnośnie takiej mojej opinii na ten temat mnóstwo osób – w tym zwłaszcza Pań – się ze mną zgodzi. Znów, w kontekście takiej hipotetycznej regulacji, w myśl której zezwolenie na aborcję musi wydać specjalna komisja wyobrażalne jest to, że komisja taka nie mogłaby badać kwestii natury intymnej, a tylko warunki życiowe chcącej usunąć ciążę kobiety. W takim przypadku traktowanie kobiety stawiającej się przed taką komisją w celu uzyskania zgody na aborcję byłoby – można twierdzić – cokolwiek mniej poniżające. Ale nawet, jeśli taki rodzaj postępowania wobec chcących dokonać aborcji kobiet nie stanowiłoby poniżającego traktowania, to w dalszym ciągu można byłoby wysunąć przeciwko niemu bardzo poważne zarzuty. Można byłoby np.

twierdzić, że taka regulacja prowadziłyby do podejmowania decyzji o przyzwoleniu na aborcję w sposób arbitralny, a kryterium, którym w ukryty sposób kierowałiby się członkowie komisji decydujących o zezwoleniu bądź niezezwoleniu na aborcję byłyby ich poglądy. Przepraszam bardzo, ale trudno jest mi sobie wyobrazić przepisy, które rozgraniczałyby dopuszczalność bądź niedopuszczalność aborcji z powodu sytuacji życiowej kobiety według jakichś sztywnych i bezwzględnych kryteriów – takich np. że kobieta mająca dochód na głowę w rodzinie do – powiedzmy 3 tys. zł – ma prawo do aborcji, a kobieta, u której ten dochód jest wyższy już nie. To oczywiście są sytuacje czysto hipotetyczne, bo regulacja, o jakiej tu mowa, nie jest przewidziana przez polskie prawo. Ale ośmielę się twierdzić, że polskie obowiązujące w Polsce prawo co najmniej łatwo może prowadzić do poniżającego traktowania kobiet nawet w tych sytuacjach, w których pozwala ono na aborcję. „Ustawa antyaborcyjna” zezwala na aborcję w przypadku, gdy zachodzi uzasadnione podejrzenie, że ciąża pochodzi z gwałtu lub innego czynu prawnie zabronionego, przy czym fakt istnienia takiego „uzasadnionego podejrzenia” musi stwierdzić prokurator. Co to oznacza dla kobiety, która chce usunąć ciążę, w którą zaszła w wyniku np. zgwałcenia? Otóż na pewno to, że musi się ona zgłosić na policję, gdzie będzie przesłuchiwana odnośnie okoliczności całego zajścia i ewentualnie konfrontowana z innymi jego świadkami. A także to, że będzie musiała przejść badanie ginekologiczne mające uprawdopodobnić fakt, że została ona zgwałcona.

Oczywiście, kobieta ma do tego wszystkiego prawo – to rzecz bezdyskusyjna. Ale czy nie może – przynajmniej czasem – być tak, że jakaś kobieta, która została zgwałcona i wskutek tego zaszła w ciążę tego wszystkiego, o czym była powyżej mowa, po prostu nie chce? Moim zdaniem, jest to jak najbardziej możliwe. Czy zmuszanie chcącej usunąć niechcianą, bo powstałą w wyniku gwałtu ciążę kobiety do tego, by opowiadała policjantom czy prokuratorowi o szczegółach gwałtu – a więc, jakby nie było, jednocześnie brutalnego, a zarazem wkraczającego w sferę intymności przeżycia – nie jest traktowaniem jej w sposób poniżający? Różne osoby mogą mieć pewnie różne zdania na ten temat, ale moim zdaniem da się w racjonalny i sensowny, nieprzekraczający miary pojęć sposób twierdzić, że tego typu postępowanie, jeśli jest ono konieczne do uzyskania zezwolenia na przerwanie ciąży z tego powodu, że powstała ona w wyniku czynu prawnie zabronionego, jest traktowaniem kobiety w poniżający sposób.

Ciąża powstała w wyniku czynu prawnie zabronionego to nie tylko ciąża powstała w wyniku gwałtu, lecz również taka, do której doszło w następstwie przestępstwa, w którym kobieta dobrowolnie wzięła udział i co więcej, sama je popełniła – takiego, jak kazirodztwo. Kobieta, która zaszła w ciążę w wyniku współżycia z taką osobą, jak np. jej brat – i chcąc ją usunąć ze względu na uzasadnione w tym przypadku obawy o zdrowie przyszłego dziecka – może uzyskać zgodę na aborcję... ale pod takim warunkiem, że doniesie na samą siebie. Z perspektywą, dodajmy, spędzenia nawet 5 lat w więzieniu za popełnione przez siebie przestępstwo. Co jak co, ale zmuszanie kobiety do złożenia *de facto* na siebie donosu, po to, aby uzyskać zezwolenie na aborcję, to już nie jest tylko traktowanie jej w sposób poniżający (czymś takim może być np. zadawanie jej pytań na temat szczegółowych okoliczności gwałtu) – jest to traktowanie jej w sposób okrutny i niehumanitarny.

Przedstawioną powyżej sytuację można cokolwiek zmodyfikować. Załóżmy, że współżycie seksualne kobiety z bezpośrednio spokrewnioną z nią osobą, w wyniku którego zaszła ona w

ciążę nie było z jej strony całkiem dobrowolne. Oczywiście, kobieta, która współżyła seksualnie ze swym np. bratem w wyniku zgwałcenia przez niego i zaszła wskutek tego w ciążę nie popełnia przestępstwa określonego w art. 201 k.k., tj. potocznie mówiąc kazirodztwa. Podobnie też nie popełnia przestępstwa kobieta, która zaszła w ciążę z członkiem swej najbliższej rodziny w wyniku popełnienia przez niego (oprócz przestępstwa kazirodztwa) takiego czynu, jak ten określony w art. 199 § 1 k.k. w którym jest mowa o tym, że „Kto, przez nadużycie stosunku zależności lub wykorzystanie krytycznego położenia, doprowadza inną osobę do obcowania płciowego lub do poddania się innej czynności seksualnej albo do wykonania takiej czynności, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”. Ale jakkolwiek o kobiecie, która zachodzi w ciążę z blisko spokrewnioną ze sobą osobą w następstwie dokonania przez tę osobę któregoś z czynów, o których była mowa powyżej należy oczywiście powiedzieć, że osobiście nie popełnia ona przestępstwa, to bez trudu można jednak stwierdzić, że taka kobieta może bać się oskarżenia – i perspektywicznie nawet skazania – za kazirodztwo. Bo w przypadku np. współżycia wymuszonego przez nadużycie stosunku zależności lub wykorzystanie krytycznego położenia (zauważmy, że są to cokolwiek nieostre i podatne na różne interpretacje pojęcia) kwestia tego, czy współżycie to było rzeczywiście wymuszone może nie być oczywista. W przypadku, gdy ciąża powstała w wyniku np. zgwałcenia przez osobę blisko spokrewnioną osoba ta może się bronić dowodząc, że współżycie było z obu stron dobrowolne – bo kazirodztwo to przestępstwo zagrożone jednak wyraźnie niższym wymiarem kary, niż gwałt – i kobieta będzie musiała te twierdzenia odierać, jeśli będzie chciała uniknąć oskarżenia o kazirodztwo. Co jak co, ale powodowanie u kobiety, która zaszła w ciążę w następstwie jakiegoś seksualnego wykorzystania czy nawet zgwałcenia jej przez blisko spokrewnioną z nią osobę obawy przed tym, że może zostać ona oskarżona o popełnienie przestępstwa, jeśli nie zdoła przekonać policji czy prokuratora że skutkujące ciążą współżycie nie było z jej strony dobrowolne, moim zdaniem w ewidentny sposób stanowi okrutne i nieludzkie traktowanie.

I wyobraźmy sobie inną sytuację. Mająca niecałe 15 lat dziewczyna zachodzi w nieplanowaną ciążę na skutek współżycia ze starszym od niej o – powiedzmy – 3 lata chłopakiem. Oczywiście, fakt współżycia przez nią z taką osobą nie stanowi – w odróżnieniu od brania udziału w kazirodztwie – przestępstwa. Przestępstwo jednak – i to zagrożone bardzo wysoką karą, bo od 2 do 12 lat więzienia, popełnia chłopak, z którym zaszła w ciążę. Dziewczyna nie chce mieć dziecka, którego posiadanie zaburzyłoby jej wszystkie życiowe plany. Ale nie chce też jednak, by ojciec jej dziecka poszedł do więzienia (chciałbym tu zauważyć, że w przypadku przestępstwa określonego w art. 200 § 1 k.k., tj. obcowania płciowego z osobą poniżej lat 15 lub dopuszczenia się wobec takiej osoby innej czynności seksualnej lub doprowadzenia jej do poddania się takim czynnościom albo do ich wykonania nawet najniższa możliwa do wymierzenia za to przestępstwo kara nie może – poza ewentualnym przypadkiem jej nadzwyczajnego złagodzenia – zostać zawieszona, gdyż najniższa kara pobawienia wolności, którą obecnie można w Polsce zawiesić, wynosi zgodnie z art. 69 § 1 k.k. 1 rok). Stawianie osoby, o której tu mowa przed alternatywą: albo urodzę nieplanowane i niechciane dziecko, albo podejmę działania zmierzające do legalnego przerwania ciąży – i spowoduję przez to, że osoba, którą kocham trafi za kraty, niewątpliwie jest traktowaniem jej okrutnym i nieludzkim sposobem.

I warto tu, myślę, wrócić do kwestii aborcji w przypadku ciąży pochodzącej z gwałtu (względnie innego przestępstwa) na którą obowiązujące obecnie w Polsce prawo pozwala (pod takim warunkiem, jak uzyskanie od prokuratora zaświadczenia o tym, iż zachodzi uzasadnione prawdopodobieństwo, że ciąża powstała w wyniku czynu prawnie zabronionego). Wszyscy, którzy nie są jakimiś antyaborcyjnymi fanatykami zgodzą się chyba co do tego, że zmuszanie kobiety – wbrew jej woli - do pozostania w ciąży pochodzącej z gwałtu i urodzenia poczętego wskutek gwałtu dziecka byłoby traktowaniem jej w okrutny i nieludzki sposób. Polskie prawo, jak już wspomniałem, przy spełnieniu odpowiednich warunków (uzyskanie prokuratorskiego zaświadczenia) pozwala jednak na przerwanie ciąży, której przyczyną był np. gwałt.

Lecz tu pojawia się – przynajmniej jak dla mnie - pytanie: czy jest naprawdę jakaś konieczna różnica w stopniu okrucieństwa, z jakim mamy do czynienia z jednej strony w przypadku zmuszenia kobiety do donoszenia do końca ciąży pochodzącej z gwałtu, a z drugiej strony w przypadku zmuszenia kobiety do donoszenia ciąży, w której po prostu nie chce ona – z takich czy innych powodów – być? To, gdyby się temu bliżej przyjrzeć, nie jest wcale oczywiste. Wyobraźmy sobie kobietę, która została zgwałcona – i po jakimś czasie stwierdza, że jest w ciąży. Nie ma racjonalnych powodów do tego, by obawiać się, że ciąża zagrozi jej zdrowiu czy tym bardziej życiu. Nie ma również przesłanek do obawy przed tym, że ewentualnie urodzone dziecko będzie upośledzone, zdeformowane czy w ogóle niezdolne do życia. Jednak owa kobieta chce przerwać ciążę – i według obowiązujących w Polsce przepisów – odnośnie których poniekąd można się poważnie zastanawiać, jak wskazywałem tu już powyżej, czy nie narażają one takiej kobiety na poniżające bądź nawet okrutne i nieludzkie traktowanie – ma to prawo zrobić.

Lecz co tak naprawdę jest motywem dążenia do przerwania ciąży przez wspomnianą powyżej hipotetyczną kobietę? Co ją popycha do takiego działania? Odpowiedź na to pytanie niewątpliwie jest taka, że popycha ją do tego jej stan psychiczny. Nie ulega wątpliwości, że zgwałcenie i już zwłaszcza odkrycie, że jest się na skutek owego zgwałcenia w ciąży może na psychikę kobiety podziałać fatalnie. Lecz nie jest bynajmniej powiedziane, że równie fatalnego stanu psychicznego, jak bycie w ciąży powstałej w wyniku np. zgwałcenia nie może spowodować u kobiety bycie w ciąży, która jest przez nią niechciana z jakiegoś innego powodu – nie mówię tu o powodach, które według obowiązującego obecnie w Polsce prawa i tak są przesłankami do dokonania niezakazanej prawnie aborcji.

Tu można byłoby ewentualnie twierdzić, że bycie przez kobietę w złym stanie psychicznym – a więc np. w depresji – w następstwie bycia przez nią w niechcianej ciąży stanowi według obowiązującego w Polsce prawa legalną przesłankę dopuszczalności aborcji, gdyż w przypadku gdy „ustawa antyaborcyjna” mówi o tym, że przerwanie ciąży może być dokonane w przypadku, gdy „ciąża stanowi zagrożenie dla (...) zdrowia kobiety ciężarnej”, chodzi nie tylko o zdrowie fizyczne, ale też o zdrowie psychiczne. Ale ze spełnieniem tej akurat przesłanki dopuszczalności aborcji sprawa może nie być prosta. Nie jestem psychologiem ani (tym bardziej) psychiatrą, ale przypuszczam, że nie ma jakiejś ostrej i bezdyskusyjnej granicy między złym stanem psychicznym – w sensie złego samopoczucia – a chorobą psychiczną. I nie mam wątpliwości, że jedno nie jest w sposób konieczny równoznaczne z drugim. Młody człowiek, którego np. rzuciła dziewczyna z pewnością może się czuć – i najprawdopodobniej

naprawdę czuje się – wręcz tragicznie, a czy znaczy to, że jest on psychicznie chory, albo, że sytuacja, w której się on znalazł w sposób konieczny – czy przynajmniej z dużym prawdopodobieństwem - doprowadzi do powstania u niego takiej choroby? Dzieje się to, jak wiemy, raczej rzadko. Tak więc złe, fatalne, czy nawet tragiczne samopoczucie spowodowane byciem w niechcianej ciąży może się nie kwalifikować jako choroba (czy nawet potencjalna choroba) psychiczna, która mogłaby być przesłanką do uzyskania przez kobietę zezwolenia na legalną aborcję.

I, poza tym, kobieta, która została (np.) zgwałcona nie musi dowodzić jakiegoś szczególnie złego stanu psychicznego, aby uzyskać zaświadczenie pozwalające jej na przerwanie ciąży. Taki stan w jakimś sensie się u niej domniemywa. Warto tu przytomnie zauważyć, że ciąży nigdy nie przerywa kobieta, która jest w dobrym stanie psychicznym – w tym sensie, że jest szczęśliwa z powodu bycia w ciąży. Jakkolwiek jednak, jak już wspomniałem, kobieta może być w złym, czy nawet bardzo złym stanie psychicznym (nie będącym przy tym równoznacznym z chorobą psychiczną) z powodu bycia w ciąży pochodzącej z gwałtu, to kobieta może też być w równie złym stanie psychicznym z powodu bycia w ciąży niechcianej przez nią z jakiejś innej przyczyny. Nawet w przypadku takiej ciąży, w którą zaszła np. wskutek jakiegoś swojego lekkomyślnego (czy bezmyślnego) zachowania. Jeśli więc uważamy, że jest czymś okrutnym i niehumanitarnym zmuszanie kobiety do donoszenia ciąży pochodzącej z gwałtu – gdzie tak naprawdę to po prostu stan psychiczny kobiety – a nie np. zagrożenie jej życia czy zdrowia, bądź perspektywa urodzenia upośledzonego dziecka jest tym, co może motywować ją do poddania się aborcji – to logicznie rzecz biorąc za okrutne i niehumanitarne należy uznać zmuszanie kobiety do donoszenia ciąży po prostu przez nią niechcianej – gdzie to również nic innego, jak stan psychiczny powodowany byciem w niechcianej ciąży jest czymś, co może motywować ją do działań zmierzających w kierunku jej usunięcia.

Jak zatem widać, da się twierdzić, że zmuszanie kobiety do pozostawiania ciąży jest traktowaniem jej w sposób okrutny i niehumanitarny – a więc naruszeniem art. 40 konstytucji - nawet jeżeli powodem do tego, że chce ona ciążę usunąć jest to, że ta ciąża jest przez nią po prostu niechciana. Niechciana ciąża może powodować u kobiety równie zły stan psychiczny, jak ciąża powstała w wyniku gwałtu – jeśli zakaz usunięcia tej drugiej uznajemy za okrutne i niehumanitarne traktowanie, to za okrutne i niehumanitarne traktowanie należałoby – logicznie rzecz biorąc – uznać zakaz przerwania także tej pierwszej.

Można więc postawić tezę, że zakaz aborcji – nawet takiej, której powodem jest to, że kobieta po prostu nie chce mieć dziecka – stanowi naruszenie art. 40 polskiej Konstytucji, a także art. 4 ust. Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych oraz art. 3 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, które zakazują traktowania kogokolwiek w okrutny, niehumanitarny i poniżający sposób. Zdaję sobie sprawę z tego, że jest to bardzo śmiałe twierdzenie, na pewno kompletnie sprzeczne nie tylko z ostatnim wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego, w którym orzekł on o konstytucyjnej niedopuszczalności aborcji z powodu ciężkiego uszkodzenia płodu, ale także z wyrokiem z 1997 r. w którym stwierdzona została niedopuszczalność aborcji ze względu na trudną sytuację życiową ciężarnej kobiety.

Lecz mimo wszystko odnośnie twierdzenia, że zakaz aborcji stanowi okrutne, niehumanitarne czy też poniżające traktowanie kobiety – a w każdym razie prowadzi do takiego traktowania

kobiet – też można mieć pewne wątpliwości. Jak już bowiem wspomniałem, w polskiej konstytucji oraz w ratyfikowanym przez Polskę prawie międzynarodowym prawo człowieka do tego, by nie być traktowanym w sposób okrutny, nieludzki lub poniżający jest uznawane za prawo o charakterze absolutnym (w przeciwieństwie do wielu innych praw – takich, jak wolność słowa, zgromadzeń, zrzeszania się, nienaruszalności mieszkania, tajemnicy korespondencji itd.). Okrutne, nieludzkie lub poniżające traktowanie człowieka nigdy nie może być dopuszczalne. Lecz tu, w kontekście aborcji pojawia się pewien cokolwiek niepokojący problem: otóż, jeśli zakaz aborcji stanowi okrutne, nieludzkie czy też poniżające traktowanie kobiety – zaś kobieta, przypomnijmy jeszcze raz, ma absolutne prawo do tego, by nie być traktowaną w taki sposób – to jakikolwiek zakaz aborcji, w dosłownie jakiegokolwiek sytuacji, narusza prawo kobiety do nie bycia traktowaną w okrutny, nieludzki lub poniżający sposób. Logicznie wynikałoby się z tego, że prawo kobiety do poddania się zabiegowi aborcji powinno być absolutne, a aborcja powinna być prawnie dopuszczalna choćby na dzień przed urodzeniem dziecka.

To niewątpliwie jest wniosek cokolwiek niepokojący – i niewątpliwie sprzeczny z powszechną moralną intuicją – i także, myślę, tych, którzy są za szeroką dopuszczalnością aborcji – którzy przecież nie postulują tego, by – bez jakichś bardzo ważnych powodów, takich jak konieczność ratowania życia lub zdrowia kobiety – można było przerwać np. 9 czy 8 miesięczną ciążę i zabić rozwijające się dziecko. Jak można wybrnąć ze sprzeczności między twierdzeniem, że zakaz aborcji jest okrutnym, nieludzkim bądź poniżającym traktowaniem kobiety – *ergo* jest niedopuszczalny – a twierdzeniem, co do którego znakomita większość czytelników zapewne również się zgodzi, że aborcja w np. 9 miesiącu ciąży nie może być dopuszczalna z tego tylko i wyłącznie powodu, iż będąca w ciąży kobieta stwierdziła nagle, że jednak nie chce mieć dziecka?

Otóż, myślę, że z tej sprzeczności można wybrnąć. Jak? Otóż, wspomniałem, że prawo do nie bycia traktowanym w sposób okrutny, nieludzki lub poniżający jest w polskim i międzynarodowym prawie czymś uznawanym za prawo absolutne, niepodlegającym uchyleniu w jakichkolwiek okolicznościach. Ale żeby można było mówić, że ktoś jest traktowany w sposób okrutny, nieludzki czy poniżający, faktycznie musi być on traktowany w taki sposób. Tu nie chcę się wypowiadać na temat tego, co może stanowić takie właśnie okrutne, nieludzkie czy poniżające traktowanie – w grę mogą wchodzić nawet powszechnie przyjęte policyjne praktyki, takie np. jak zakuwanie w kajdanki ludzi zatrzymanych z powodu podejrzenia ich o popełnienie przestępstwa, nawet jeśli nic nie wskazuje na to, że będą oni próbowali uciec bądź np. szarpać czy bić się z policjantami. Chciałbym natomiast powiedzieć jedno: jakkolwiek zakaz okrutnego, nieludzkiego czy też poniżającego traktowania jest zakazem absolutnym, to kwestia tego, co jest okrutnym, nieludzkim bądź poniżającym traktowaniem jest już czymś do pewnego stopnia względnym.

O tym, że tak jest możemy sobie uświadomić na przykładzie wspomnianego tu już przykładu więzień. Wyobraźmy sobie zatem więzienie, w którym umieszczone w nim osoby mają zapewnione przyzwoite warunki: nikt się nad nimi nie znęca, dostają pożywne i (w miarę przynajmniej) smaczne jedzenie, mogą uczyć się i zdobywać zawód, jeśli go nie mają, mogą utrzymywać kontakty z rodziną, mogą robić jeszcze inne rzeczy, których nie ma sensu tu wymieniać – nie mogą tylko jednego: wyjść z niego na wolność tak długo, jak nie odsiedziały

już one zasądzonego wyroku bądź nie uzyskały prawa do warunkowego przedterminowego zwolnienia.

Czy zamknięcie kogoś w takim właśnie, zapewniającym przyzwoite – na pewno nie *per se* okrutne i nieludzkie warunki życiowe więzieniu – może być równoznaczne z traktowaniem go w okrutny, nieludzki lub poniżający sposób? Aby spróbować odpowiedzieć na tak postawione pytanie wyobraźmy sobie przykłady różnych ludzi, którzy z takich bądź innych powodów trafili do owego więzienia. Wyobraźmy sobie zatem, że ktoś do owego więzienia trafił na – powiedzmy, 10 lat – za dokonanie takiego przestępstwa, jak zabójstwo. 10 lat odsiadki to bez wątpienia spora kara. Czy jednak ktokolwiek z czytelników tego artykułu powie, że ten ktoś został – z powodu zamknięcia go w więzieniu na 10 lat – potraktowany w sposób okrutny i nieludzki? Bardzo wątpię, by znalazł się ktoś będący takiego zdania. Przypuszczam natomiast, że bardzo wiele osób uważałoby, że nie byłoby okrutnym i nieludzkim potraktowaniem owego człowieka nawet to, gdyby za świadome i rozmyślne zabicie innej osoby trafił on do więzienia nie tylko na np. 10 (czy w ogóle jakąś tam określoną liczbę) lat, ale na resztę swojego życia.

Lecz wyobraźmy sobie cokolwiek odmienną sytuację: do owego zapewniającego zupełnie przyzwoite warunki bytowe więzienia na 10 lat trafia ktoś, kto ukradł w sklepie kosztującego np. 4 złote batonika. Dla dobra argumentacji załóżmy dodatkowo, że ten ktoś został skazany w całkowicie uczciwym z proceduralnego punktu widzenia procesie przez niezawisły i bezstronny, a więc nieuprzedzony do niego sąd. Załóżmy, że obowiązujące prawo przewidywało możliwość wymierzenia takiej kary za czyn, którego ten ktoś dokonał, albo – jeszcze lepiej – że była to najniższa kara, jaką zgodnie z prawem można było wymierzyć za taki czyn. A także – żeby argumentacja była jeszcze lepsza – że owo prawo było temu, kto ukradł w sklepie batonik, znane.

Czy o kimś takim dałoby się powiedzieć, że został on potraktowany w sposób okrutny i nieludzki? Otóż, wyobrażam sobie, że znaleźliby się tacy, którzy w odniesieniu do takiego, hipotecznego przypadku powiedzieliby krótko: *dura lex, sed lex* (albo nawet *bsdura lex, sed lex*) Myślę jednak, że mnóstwo osób uznałoby za okrutne i nieludzkie traktowanie skazanie kogoś na karę w sposób oczywisty niewspółmierną w stosunku do wagi i szkodliwości dokonanego przez niego czynu – nawet wówczas, gdyby kara ta była przewidziana przez obowiązujące – znane komuś kto dokonał takiego czynu prawo – i nawet wówczas, gdyby była to najniższa przewidziana przez prawo kara za taki czyn, i również wtedy, gdyby została ona wymierzona w sprawiedliwym, z proceduralnego punktu widzenia, procesie karnym. Jak więc widać, wsadzenie kogoś na 10 lat do więzienia może nie być traktowaniem go w okrutny i nieludzki sposób – ale może też nim być – w zależności od sytuacji, w jakiej ma to miejsce.

Wyobraźmy też sobie jeszcze inny przypadek: do owego zupełnie w sumie przyzwoitego więzienia ktoś trafia za to, co zrobił w sposób zupełnie przypadkowy, niezawiniony przez siebie – np. za to, że się potknął i przewrócił (ale nic mu się wskutek tego nie stało, więc nie wymaga leczenia). Załóżmy też, że za „przestępstwo” przewrócenia się został skazany w sprawiedliwym procesie w którym zostało ponad wszelką rozsądną wątpliwość udowodnione, że „przestępstwo” to faktycznie on popełnił. Dodatkowo załóżmy, że wymierzona komuś takiemu kara nie tylko, że nie jest długa – wynosząca np. ileś tam lat, czy choćby miesięcy pozbawienia wolności – ale jest naprawdę bardzo krótka – wynosząca najwyżej kilka dni. Czy

taka kara byłaby – w stosunku do takiej osoby – karą okrutną i nieludzką? Otóż, myślę, że wielu ludzi stwierdziłoby, że tak – że byłoby czymś okrutnym i nieludzkim wsadzanie ludzi do więzień – choćby nawet tylko na bardzo krótko – za to, że się przewrócili. Podobnie, jak byłoby czymś okrutnym i nieludzkim zamykanie, choćby na maksymalnie krótki czas, w więzieniach ludzi, których „winą” było to, że byli rudzi, łysi, niscy, wysocy albo np. na coś chorzy. Jak uzasadniając opinię Sądu Najwyższego USA w sprawie [Robinson v. California](#) (1962, sprawa dotyczyła zgodności z VIII Poprawką do Konstytucji USA prawa stanu Kalifornia przewidującego karę od 90 dni do roku więzienia za przestępstwo bycia uzależnionym od zażywania narkotyków) stwierdził sędzia Potter Stewart „nawet jeden dzień w więzieniu byłby okrutną i niezwykłą karą (zakazaną przez VIII Poprawkę) za ‘przestępstwo’ przeziębienia”.

Jak więc widać, całkiem podobne – a właściwie po prostu wręcz identyczne – sposoby traktowania człowieka mogą być, bądź też nie być jego okrutnym i nieludzkim traktowaniem (czy też okrutnym i niezwykłym karaniem – odwołując się do VIII Poprawki do Konstytucji USA) w zależności od powodu takiego jego traktowania.

Kiedy jednak zakaz dokonania aborcji może nie być okrutnym, nieludzkim czy też poniżającym traktowaniem chcącej usunąć swą ciążę kobiety? Pisałem już, w jakich przypadkach zakaz taki stanowi, moim zdaniem, okrutne, nieludzkie bądź poniżające traktowanie. Stanowi on więc takie traktowanie wówczas, gdy ciąża stwarza zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety. Stanowi je również wtedy, gdy są istotne przesłanki wskazujące na to, że ciąża zakończy się urodzeniem upośledzonego dziecka. Jest tak przy tym zarówno wówczas, gdy chodzi o sytuację, w której dziecko nie ma szans na przeżycie po urodzeniu (albo taką, gdy prawdopodobnie umrze jeszcze przed urodzeniem), jak i taką, gdy dziecko prawdopodobnie przeżyje, ale będzie kaleką bądź osobą upośledzoną. Jeśli chodzi o pierwszy przypadek, to zgodzimy się chyba, że jest czymś nieludzkim zmuszenie kobiety do donoszenia ciąży i urodzenia dziecka w takim np. przypadku, gdy dziecko to np. nie ma mózgu. Warto zwrócić przy tym uwagę, że tzw. letalne wady płodu, zwłaszcza takie, które mogą prowadzić do jego śmierci jeszcze przed porodem bardzo często stanowią zagrożenie także dla zdrowia bądź nawet życia kobiety. Fakt, że wady takie w wielu przypadkach wiążą się z co najmniej zwiększonym ryzykiem takiego zagrożenia w jeszcze większym stopniu uzasadnia tezę, że zmuszanie kobiety do urodzenia dziecka nie mającego szansy na przeżycie byłoby czymś równoznacznym z traktowaniem jej w sposób okrutny i nieludzki. Jeśli chodzi natomiast o przypadek, w którym dziecko najprawdopodobniej przeżyje, ale będzie kaleką czy też osobą upośledzoną, to na zdrowy rozum zmuszanie kobiety do urodzenia *ergo* wychowywania kalekiego czy upośledzonego dziecka byłoby zmuszaniem jej do stania się bohaterką. Jednak nie można zmuszać ludzi na siłę do tego, by byli bohaterami – takie postępowanie z ludźmi z pewnością należy uznać za postępowanie okrutne i nieludzki.

Mógłby tu ktoś oczywiście twierdzić, że w przypadku, gdy kobieta jest w ciąży z takim dzieckiem, o jakim była powyżej mowa, to może je ona np. zostawić w tzw. oknie życia i nie podjąć się trudu jego wychowywania. Ale zmuszanie kobiety do podjęcia takiego akurat wyboru byłoby na zdrowy rozum czymś równoznacznym z narażaniem jej na psychiczne tortury. Gdyby zdecydowała się ona np. na zostawienie takiego dziecka, przez całe życie musiałaby się ona borykać ze świadomością, że urodzone przez nią dziecko gdzieś tam żyje i

najprawdopodobniej cierpi z powodu swojego stanu. Zmuszanie kobiety do tego, by żyła z taką świadomością jest, uważam, traktowaniem jej w sposób okrutny i nieludzki. Znów, oczywiście, nie ulega wątpliwości, że kobieta która usunęła ciążę z takiego powodu, że badania prenatalne wskazywały na wysokie prawdopodobieństwo urodzenia się upośledzonego dziecka też może cierpieć z powodu podjęcia takiej decyzji. Może mieć wyrzuty sumienia – być może, że trwające nawet przez resztę jej życia. Ale jest moim zdaniem różnica między tymi dwoma sytuacjami. Cierpienie powodowane wyrzutami sumienia z powodu dokonanej aborcji jest cierpieniem głównie z powodu czynu popełnionego w przeszłości. Nie jest to cierpienie powodowane świadomością jakiejś aktualnej, realnej, fizycznej sytuacji – dziecka, które ewentualnie mogłoby zaistnieć, gdyby nie dokonana przez kobietę aborcja nie ma – nie może ono w żaden sposób cierpieć, nie może się z nim nic złego stać. Jednak w przypadku, gdy kobieta rodzi upośledzone dziecko i np. zostawia je w tzw. oknie życia, jej cierpienia psychiczne wynikają nie tylko z wyrzutów sumienia będących wynikiem jednorazowo dokonanego przez siebie czynu (zgoda, że niebędącego czymkolwiek zdaniem morderstwem), ale także ze świadomości, że jej dziecko żyje i najprawdopodobniej nie jest, czy nie będzie szczęśliwe. Powodem psychicznych cierpień kobiety nie jest więc w takim przypadku wyłącznie jej jednorazowy czyn z przeszłości, ale taki czyn *plus* sytuacja (której zapewne ona obiektywnie nie zna, ale odnośnie której ma świadomość jej istnienia) trwająca wskutek dokonania przez nią tego czynu w sposób ciągły. Cierpienie spowodowane wymuszonym urodzeniem upośledzonego dziecka i podjęciem dozwolonej – zgoda co do tego – decyzji o np. zostawieniu takiego dziecka w tzw. oknie życia może być więc czymś bardziej trwałym od cierpienia powodowanego wyrzutami sumienia z powodu aborcji. Zmuszanie kobiety do decydowania o tym, czy wychowywać upośledzone dziecko – co samo w sobie jest przecież olbrzymim obciążeniem – czy też np. oddać je do jakiegoś specjalnego zakładu jest zmuszaniem jej do dokonania tak naprawdę strasznego wyboru – nie mniej strasznego, jak wybór między urodzeniem takiego dziecka, a przerwaniem ciąży. Tego rodzaju postępowanie z będącą w ciąży, w wyniku której może się urodzić upośledzone dziecko kobietą jest, moim zdaniem, jej okrutnym i nieludzkim traktowaniem.

Za okrutne i nieludzkie traktowanie kobiety należy też, jak już wcześniej wspomniałem, uznać zakaz przerwania ciąży w przypadku, gdy pochodzi ona z gwałtu, względnie innego przestępstwa. Powód, dla którego zakaz aborcji jest w tym przypadku czymś okrutnym i nieludzkim jest taki, że gwałt sam w sobie jest czymś okrutnym wobec pokrzywdzonej takim przestępstwem kobiety, a stwierdzenie przez kobietę, że następstwem gwałtu jest ona w ciąży może pogłębiać stan psychiczny będący następstwem samego gwałtu. Zmuszanie takiej kobiety do tego, by urodzić dziecko stanowiłoby dokładanie cierpienia do cierpień. Co do wyobraźalnego argumentu, że zgwałcona kobieta może urodzić dziecko (oczywiście, że tak – nikt jej tego przecież nie zabrania i myślę, że należy ją jakoś, choć nie przez po prostu zakazanie aborcji do tego zachęcać) zobacz poprzedni akapit. W oczywisty sposób okrutne i nieludzkie jest też tworzenie – w odniesieniu do niektórych możliwych przypadków zajścia w ciążę w wyniku czynu prawnie zabronionego – sytuacji, w której kobieta, aby uzyskać zaświadczenie o tym, że ciąża pochodzi z przestępstwa musi *de facto* złożyć donos na samą siebie (w przypadku np. kazirodztwa).

Argumentowałem także, że okrutnym i nieludzkim traktowaniem kobiety może być także zmuszanie jej – wskutek zakazania i zagrożenia poważną karą dokonania przez lekarza aborcji – do pozostania w ciąży nawet w takiej sytuacji, gdy nie zachodzi istotne prawdopodobieństwo zagrożenia jej życia bądź zdrowia, nie ma podejrzeń, że dziecko urodzi się niezdolne do życia, bądź upośledzone, ani nie jest też tak, że ciąża jest wynikiem gwałtu czy innego przestępstwa, ale kobieta po prostu nie chce mieć dziecka. To, zdaję sobie sprawę, jest najbardziej kontrowersyjne stwierdzenie z tu wymienionych. Ale można jednak argumentować, że zakaz przerwania ciąży po prostu niechcianej także stanowi okrutne i nieludzkie traktowanie kobiety. Dlaczego? Jeśli o to chodzi, to wróćmy do sytuacji, gdy ciąża pochodzi z gwałtu (czy jeszcze innego przestępstwa) kiedy to kobieta, w myśl obowiązujących obecnie w Polsce przepisów prawnych, może uzyskać zaświadczenie uprawniające ją do poddania się niezakazanej aborcji. Dlaczego kobieta, która zaszła w ciążę w wyniku gwałtu decyduje się na jej przerwanie? Otóż, niewątpliwie tym, co motywuje ją do podjęcia takiego kroku jest jej stan psychiczny, spowodowany byciem w niechcianej ciąży. Lecz w równie złym stanie psychicznym, jak kobieta będąca w niechcianej ciąży będącej następstwem gwałtu może być kobieta będąca w niechcianej ciąży, która nie jest efektem czegoś takiego, jak gwałt (czy jakiegokolwiek inne przestępstwo). Jeśli więc zakaz aborcji w przypadku ciąży pochodzącej np. z gwałtu byłby okrutnym i nieludzkim traktowaniem kobiety, to tak samo za okrutne i nieludzkie traktowanie kobiety z powodzeniem można byłoby uznać uniemożliwianie jej poddania się zabiegowi aborcji w przypadku ciąży, która powoduje u niej podobnie zły stan psychiczny, jak ciąża pochodząca np. z gwałtu, choćby nawet powodem zajścia jej w ciążę nie było żadne przestępstwo. Można byłoby się przy okazji spytać, czy w takim przypadku warunkiem zgody na aborcję nie powinno być stwierdzenie takiego stanu kobiety przez jakąś specjalną komisję, czy nawet przez pojedynczego lekarza, innego niż ten, który fizycznie dokonuje zabiegu aborcji. Lecz myślę jednak, że nie byłby to dobry pomysł (przynajmniej tak długo, jak pozytywna opinia takiej komisji czy lekarza byłaby konieczna do uzyskania zgody na aborcję – po prostu konsultacja np. z psychologiem, bez jednak możliwości powiedzenia przez niego w wiążący sposób „nie, ja się w Pani przypadku na aborcję nie zgadzam, bo Pani stan psychiczny nie jest wystarczająco zły”, byłaby czymś bardziej możliwym do przyjęcia). Dlaczego? Otóż, z tej prostej przyczyny, że ocena tego, czy kobieta jest w dostatecznie złym stanie psychicznym, aby uznać, że aborcja może być w jej przypadku dopuszczalna mogłoby w dużej mierze zależeć od subiektywnego „wiedzimisię” kogoś dokonującego takiej oceny. W takim przypadku to nie prawo określa sytuacje, których aborcja jest dopuszczalna, ale *de facto* decyzja urzędnika (czy kogoś faktycznie pełniącego funkcję urzędnika wyrażającego zgodę lub niezgodę na aborcję). Coś takiego byłoby, moim zdaniem, sprzeczne z art. 7 polskiej Konstytucji, który mówi, że „organy władzy publicznej działają na podstawie i w granicach prawa”. Stwierdzenie, że organy władzy publicznej działają (czy też, że powinny działać) „na podstawie i w granicach prawa” nie może – moim zdaniem – oznaczać tego, że wystarczającą przesłanką dla zgodności działania tych organów ze wspomnianym przepisem konstytucji może być to, że działania te mają jakieś choćby ogólnikowe podłoże w postaci takiej czy innej ustawy, w zakresie której mogą się swobodnie poruszać i wydawać takie po prostu decyzje, jakie wydają im się w konkretnych przypadkach słuszne. Regulacje działania owych organów muszą być bardziej precyzyjne – szczególnie wówczas, gdy ich decyzje mogą tyczyć

się podstawowych wolności i praw obywatelskich. W przypadku zaś aborcji stworzenie regulacji prawnej, która by określała, jaki stan psychiczny kobiety powodowany niechcianą ciążą jest dostatecznie zły, by pozwolić jej na aborcję, a jaki dostatecznie zły jeszcze nie jest, na zdrowy rozum nie byłoby możliwe. Hipotetyczna regulacja prawna, w myśl której zgodę na aborcję z powodu stanu psychicznego kobiety musiałby wydać niezależny psycholog czy też jakaś specjalna komisja byłaby więc moim zdaniem sprzeczna z art. 7 Konstytucji, a także, myślę, z art. 2, w myśl którego „Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej”. Państwo prawne to bowiem takie państwo, które działa na podstawie prawa – nie na podstawie opartych na „widzimisię” decyzji jego funkcjonariuszy – nawet, jeśli decyzje te miałyby mieć jakąś ogólnikową podstawę prawną w postaci np. ustawy.

Niezgodna z art. 7 i 2 Konstytucji byłaby też, według mnie, regulacja, w myśl której jakaś komisja badałaby np. sytuację socjalną kobiety i na podstawie oceny tej sytuacji zgadzała bądź nie zgadzała się na aborcję. Ocena taka niewątpliwie dokonywana byłaby na podstawie subiektywnych kryteriów – trudno, jak już wcześniej wspomniałem, wyobrazić sobie precyzyjne wymienienie warunków, pod jakimi kobieta może dokonać aborcji z powodu sytuacji życiowej – i gdyby ktoś nawet próbował określać takie warunki, to byłyby one potwornie sporne. Czy prawo do aborcji z powodu trudnych warunków życia powinna mieć kobieta, u której dochód na głowę w rodzinie wynosi np. 1000 zł, 2000 zł czy jakąś jeszcze inną sumę? Niech ktoś to powie! Lecz gdyby nawet ustalić jakieś tego rodzaju kryteria, to można byłoby twierdzić, że mają one charakter dyskryminujący. Nie można zabraniać ludziom korzystania przez nich z pewnych przysługujących im uprawnień z tego powodu, że są oni zbyt biedni. Ale tak samo nie można zabraniać im korzystania z takich czy innych uprawnień z tej przyczyny, że są oni zbyt bogaci – przynajmniej wówczas, jeśli nie przemawiają za tym jakieś naprawdę poważne przesłanki (wyobrażam więc sobie regulację prawną, w myśl której „500+” nie przysługiwałoby np. miliarderni czy multimilionerni, bo tacy ludzie i bez takich środków lepiej dadzą sobie radę z zapewnieniem możliwie najlepszych warunków życia i nauki dla swoich dzieci, niż ubodzy ludzie nawet z „500+”).

Na subiektywnym „widzimisię” oceniających musiałoby się też opierać decydowanie o dopuszczalności aborcji w oparciu o takie kryteria, czy kobieta zrobiła – czy też nie zrobiła – wystarczająco dużo, aby nie zająć w niechcianą ciążę. Opieranie przyzwolenia – lub nie przyzwolenia – na aborcję na tego rodzaju kryterium również naruszałoby art. 7 oraz 2 konstytucji. Dodatkowo, prowadziłoby to do może nie „okrutnego i nieludzkiego” ale z pewnością poniżającego traktowania kobiet. Nie sposób bowiem byłoby nie uznać za poniżające traktowanie kobiety zmuszanie jej do odpowiadania na pytania dotyczące szczegółów jej życia seksualnego.

Jak też wcześniej wspomniałem z podobnych powodów do poniżającego traktowania kobiet może dochodzić w pewnych przypadkach, w których obowiązujące w Polsce prawo zezwala na aborcję – np. wówczas, gdy ciąża pochodzi z gwałtu (czy innego przestępstwa). Można tu oczywiście zadać pytanie, czy do takiego właśnie, poniżającego traktowania w takich przypadkach dochodzić musi. Możemy sobie przecież bez trudu wyobrazić sytuację, w której przyjmujący zeznania zgwałconej kobiety policjanci zachowują się wobec niej całkowicie kulturalnie i nie traktują jej w sposób, który obiektywnie rzecz biorąc można uznać za

poniżający. Lecz weźmy tu pod uwagę jedną rzecz. Jeśli kobieta chce przerwać ciążę z tego powodu, że zaszła w nią w wyniku gwałtu, to musi poinformować policję o tym zdarzeniu. Musi zostać przesłuchana, i to całkiem szczegółowo, i opowiedzieć o okolicznościach gwałtu, niemal na pewno będącego dla niej bardzo nieprzyjemnym przeżyciem – w dodatku przeżyciem, jakby nie było, natury intymnej. Musi oczywiście przejść badanie mające ewentualnie potwierdzić to, czy faktycznie została ona zgwałcona. Nie ma innej możliwości stwierdzenia, że kobieta padła ofiarą gwałtu i że ciąża, w którą wskutek tego zaszła, może zostać legalnie przerwana. Jeśli zgwałcona i będąca wskutek tego w ciąży kobieta musi przechodzić wspomniane powyżej procedury, aby uzyskać zaświadczenie potrzebne do wykonania legalnej aborcji, to zmuszanie jej do przechodzenia owych procedur – oczywiście, nie zmuszania w sensie fizycznym, ale zmuszania w sensie faktu, że bez przechodzenia owych procedur nie może ona uzyskać zaświadczenia koniecznego do wykonania legalnej aborcji – jak najbardziej można uznać za poniżające traktowanie.

Z traktowaniem kobiety może niekoniecznie w sposób poniżający (czy tym bardziej okrutny i nieludzki), ale w sposób oparty na nieprecyzyjnych kryteriach i przez to w praktyce arbitralny możemy mieć też do czynienia w najbardziej oczywistych, najmniej dyskusyjnych przypadkach, w których polskie prawo na aborcję zezwala. Chodzi o takie przypadki, jak ten, w którym występuje duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu – czyli przesłanka dopuszczalności aborcji, którą Trybunał Konstytucyjny zajmował się w niedawnym orzeczeniu i uznał ją za niezgodną z Konstytucją – a także ten dotyczący zagrożenia życia lub zdrowia będącej w ciąży kobiety. Dlaczego do przepisów *pozwalających* na aborcję we wspomnianych przypadkach można odnieść taki zarzut? Otóż dlatego, że sformułowane w nich kryteria, mające służyć określeniu tego, czy aborcja jest, czy też nie jest w konkretnym przypadku dopuszczalna są kryteriami w dużej mierze ocennymi. „Ustawa antyaborcyjna” mówi np. że przerwanie ciąży jest dopuszczalne wówczas, gdy istnieje duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu. Lecz kiedy mamy do czynienia z takim właśnie „dużym prawdopodobieństwem” ciężkiego i nieodwracalnego uszkodzenia płodu bądź jego nieuleczalnej choroby, by można było uznać, że aborcja z powodu przesłanki embriopatologicznej jest w danym przypadku dopuszczalna? Inaczej mówiąc, jak duże musi być prawdopodobieństwo zaistnienia w przypadku danej ciąży takiej właśnie okoliczności, by można było dopuścić jej usunięcie? Pewne jest jedno – na pewno nie musi ono wynosić 100%. Ale ile musi? 75%? Ponad 50%? Dokładnie 50%? 30%? 25%? 10%? 5%? Może jeszcze mniej? W tej kwestii nic nie jest oczywiste i bezdyskusyjne choćby na poziomie czysto ogólnym. I oczywiście, różni lekarze mogą też różnie oceniać to, czy w konkretnym przypadku istnieje duże prawdopodobieństwo ciężkiego upośledzenia bądź ciężkiej i nieuleczalnej choroby płodu. Podobnie jest w sytuacji, gdy ciąża miałaby zagrażać życiu lub zdrowiu kobiety ciężarnej. Mówiąc o możliwości legalnego przerwania ciąży z takiego akurat powodu „ustawa antyaborcyjna” nic nie wspomina o „dużym” (czy jakimkolwiek innym) prawdopodobieństwie, że kontynuowanie ciąży doprowadzi do tego, że kobieta umrze albo że pogorszy się jej stan zdrowia. Ale w tym przypadku też niewątpliwie chodzi o jakieś prawdopodobieństwo, że ciąża doprowadzi do któregoś z takich rezultatów. Odnośnie określenia tego, jak duże musi być to prawdopodobieństwo można byłoby się

zapewne spierać, zaś lekarze mogą mieć różne opinie co do tego, czy takie prawdopodobieństwo zachodzi w przypadku konkretnej ciąży. W dodatku, ustalanie tego, czy w przypadku konkretnej ciąży istnieje zagrożenie życia lub zdrowia kobiety albo czy występuje duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego uszkodzenia płodu polega (z wyjątkiem przypadku, gdy ciąża *bezpośrednio* zagraża życiu kobiety) na długich, komisyjnych procedurach, w praktyce bardziej złożonych od tej, która literalnie rzecz biorąc wymagana jest przez „ustawę antyaborcyjną”, gdzie w art. 4a ust. 5 powiedziane zostało, że „wystąpienie okoliczności, o których mowa w ust. 1 pkt 1 (zagrożenie życia lub zdrowia kobiety) i 2 (uszkodzenie płodu), stwierdza inny lekarz niż dokonujący przerwania ciąży, chyba że ciąża zagraża bezpośrednio życiu kobiety”. Np. w województwie małopolskim (nie wiem, czy w innych województwach jest dokładnie tak samo) jak wynika z opublikowanego w „Gazecie Wyborczej” [wywiadu z ginekologiem i położnikiem prof. Hubertem Hurasem](#) w przypadku, gdy występuje podejrzenie letalnej wady płodu na temat tej wady musi się wypowiedzieć dwóch specjalistów – z których żaden nie może być lekarzem, który wykrył tę wadę – i oni wspólnie wraz konsultantem wojewódzkim decydują o tym, czy usunięcie ciąży z powodu prawdopodobieństwa wystąpienia u płodu owej wady jest dopuszczalne, czy też nie (nie jest dla mnie jasne, czy jakoś podobnie wygląda procedura w przypadku, gdy twierdzi się, że ciąża zagraża życiu lub zdrowiu kobiety ciężarnej, ale podejrzewam, że odbywa się to w sposób podobny).

Odnosnie wspomnianej procedury miałbym taką uwagę: wyobraźmy sobie sytuację, że jakaś kobieta jest w ciąży, odnośnie której ma pewną, powiedzmy że racjonalnie uzasadnioną, czy to jej stanem zdrowia, czy jeszcze innymi przesłankami obawę, że może ona spowodować znaczące pogorszenie jej stanu zdrowotnego – czy nawet doprowadzić do zgonu – bądź skończyć się urodzeniem niezdolnego do życia lub upośledzonego dziecka. Jednak generalnie rzecz biorąc nie chce ona aborcji – to znaczącej mówiąc – nie wyklucza jej w jakimkolwiek przypadku, ale traktuje ją jako ostateczność. Chce się więc ona upewnić, czy w jej przypadku aborcja naprawdę jest konieczna, aby zapobiec temu, czego chciałaby uniknąć. Opinia jednego lekarza, który mówi, że aborcja jest w jej przypadku uzasadniona jest dla niej niewystarczająca. Kobieta chce mieć odnośnie tego większą (o ile nie absolutną – nie chcę się wypowiadać w kwestii tego, czy taka może być) pewność, że naprawdę – jeśli nie chce stracić czy to życia, czy też zdrowia, albo urodzić niezdolnego do życia czy upośledzonego dziecka – nie ma dla niej innego rozsądnego wyboru, jak aborcja. Jeśli uznajemy – a każdy chyba uzna – prawo kobiety do upewnienia się, że wspomniana sytuacja naprawdę u niej występuje – to w oczywisty sposób musimy też uznać to, że powinna mieć ona prawo do skonsultowania jej przypadku z więcej, niż jednym lekarzem. Może nawet z szeregiem specjalistów. Ale wspomniana powyżej małopolska regulacja (i bardzo możliwe, że również inne obowiązujące w Polsce regulacje dotyczące niezakazanej prawnie aborcji) nie ma na celu po prostu stworzenia takiej procedury, żeby kobieta mogła mieć pewność, że aborcja jest w jej przypadku konieczna – jeśli chce ona uniknąć takich skutków, jak utrata życia czy zdrowia, bądź urodzenie niezdolnego do życia czy upośledzonego dziecka. Regulacja ta – nawiasem mówiąc nie mająca wystarczających podstaw w „ustawie antyaborcyjnej”, której art. 4a ust. 9 upoważnia Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej (obecnie po prostu Ministra Zdrowia) do określenia w drodze rozporządzenia m.in. kwalifikacji lekarzy decydujących o tym, czy w

przypadku konkretnej ciąży występuje zagrożenie życia lub zdrowia kobiety albo duże prawdopodobieństwo ciężkiego uszkodzenia czy nieuleczalnej i grożącej śmiercią choroby płodu, ale nie ich liczby – w art. 4a ust. 5 mowa jest po prostu o tym, że wspomniane okoliczności stwierdza inny *lekarz*, niż dokonujący przerwania ciąży – zmusza kobiety, chcące przeprowadzenia u nich zabiegu aborcji bądź dopuszczające taki zabieg – do przechodzenia takiej procedury.

Wspomniana powyżej procedura z pewnością nie jest szybka. Trudno byłoby zaprzeczyć temu, że może ona trzymać kobiety w niepewności odnośnie tego, czy zabieg aborcji jest w ich przypadku prawnie dopuszczalny. Taki stan niepewności w przypadku obawiającej się o swoje życie czy zdrowie bądź perspektywę urodzenia upośledzonego czy niezdolnego do przeżycia dziecka może być dla kobiety prawdziwą męczarnią. Powodowanie u kobiety takiego stanu może być więc czymś równoznacznym z jej okrutnym i nieludzkim traktowaniem. I jeszcze jedno. Ze wspomnianego powyżej wywiadu, w którym była mowa o procedurze decydowania o dopuszczalności aborcji w woj. Małopolskim absolutnie nie wynika, że procedura ta działa nie tak, jak powinna – tzn. że kobiety zmuszane są do rodzenia upośledzonych czy niezdolnych do życia dzieci, albo pozostawania w ciąży stanowiącej zagrożenie dla ich życia bądź zdrowia. Ale czy procedura taka nie może do czegoś takiego prowadzić? Wyobraźmy sobie, że zasiadający w komisji orzekającej lekarze są radykalnymi przeciwnikami aborcji, albo że kimś takim jest konsultant wojewódzki. Jeśli nawet taka sytuacja nie występuje obecnie nigdzie w Polsce (a zakładam, że nie występuje – choć nie wiem jak to jest, bo z oczywistych względów nie interesowało mnie dokonanie zabiegu aborcji), to nie można powiedzieć, że nie może ona, przy stosowaniu tego rodzaju procedur, jak ta wspomniana powyżej, zaistnieć. Coś takiego może prowadzić do tego, że aborcja będzie w praktyce zakazana nawet w tych przypadkach, w których jest ona prawnie dozwolona.

Jak zatem widać, zakaz aborcji może być okrutnym, nieludzkim czy poniżającym traktowaniem kobiety bądź traktowaniem jej w arbitralny sposób – albo prowadzić do takiego traktowania, i to – chciałbym zauważyć – zarówno w przypadkach, w których polskie prawo zabrania aborcji – czy takich, odnośnie których niektórzy chcieliby, żeby jej zabraniało – jak i takich, w których na aborcję prawo to, generalnie rzecz biorąc pozwala. Kiedy jednak trudno byłoby w sposób poważny twierdzić, że zakaz dokonania aborcji stanowi jakieś okrutne, nieludzkie, czy też poniżające (albo arbitralne) traktowanie kobiety – mimo, że chciałyby ona przeprowadzenia u niej aborcji?

Odpowiadając na to pytanie odwołam się do powszechnej intuicji zarówno tych osób, które są – powiedzmy – jakimiś względnie umiarkowanymi przeciwnikami dopuszczalności aborcji (np. takimi, jakich zadowala obowiązujący w Polsce tzw. „kompromis aborcyjny”) jak i takich, którzy są za tym, by aborcja była dozwolona w znacznie szerszym zakresie. Intuicja ta jest taka, że aborcja nie może być swobodnie, obojętnie z jakiego powodu, dopuszczalna w końcowym okresie ciąży.

Dlaczego? Otóż dlatego, że płód w czasie niedługo przed porodem jest czymś – czy jak kto woli kimś – zdecydowanie innym, niż płód mający np. kilka tygodni. Ten drugi nie ma wystarczająco rozwiniętego układu nerwowego, by móc np. odczuwać jakiś ból spowodowany dokonaną na nim aborcją. Ten pierwszy zdolność taką jednak ma. Ponadto, ten

drugi nie ma zdolności przeżycia poza organizmem kobiety, w której ciele się rozwija – usunięcie go z tego organizmu musi zakończyć się (nieodczuwaną przez niego) jego śmiercią. Ten pierwszy ma jednak możliwość przeżycia - choćby ze sztucznym wspomaganiami – poza ciałem swej matki. Usunięcie go z tego ciała i pozbawienie życia to może nie być dokładnie jedna i ta sama sprawa.

Tu dochodzimy do odpowiedzi na zadane wcześniej pytanie, które dla wielu (choć nie wszystkich) ludzi jest kluczowe z punktu widzenia kwestii dopuszczalności bądź niedopuszczalności aborcji: czy płód jest człowiekiem? Otóż, najlepsza, jak myślę, odpowiedź na to pytanie jest taka, że płód – wcześniej, na samym początku, zygota, później embrion – w sposób stopniowy staje się człowiekiem. Na samym początku ciąży jeszcze nim nie jest – w znaczeniu takim, jakim jest człowiek choćby dopiero co urodzony. Pod koniec ciąży, na zdrowy rozum, jest nim. Jak pisałem tu już wcześniej, płód, który ma się urodzić za np. dzień jako dziecko, niczym istotnym – poza miejscem swego pobytu i sposobem przyjmowania do swego organizmu tlenu i substancji odżywczych – się od tego dziecka nie różni. I niczym specjalnym nie różni się od niego płód w troszkę wcześniejszym okresie – dokładniej mówiąc, wcześniejszym w jakimś – zgoda co do tego – bliżej nieokreślonym stopniu.

Z twierdzeniem, że zygota, embrion czy płód nie jest od samego początku człowiekiem – lecz dopiero stopniowo się nim staje – by w końcu się nim stać – z pewnością nie wszyscy się zgodzą. Twierdzenie to jest bez wątpienia wyrażeniem pewnego poglądu. Niestety, tak się składa, że w dyskusji na temat aborcji nie da się nie wyrażać – czy to formułując własne, czy powtarzając sformułowane już wcześniej przez innych – takich czy innych poglądów. Wielu przeciwników dopuszczalności aborcji wyraża pogląd, że człowiekiem jest już zapłodniona komórka jajowa kobiety, czyli zygota. Dodatkowo wspierają oni swoją opinię na ten temat nie budzącą generalnie rzecz biorąc sporów obserwacją, że rozwój embrionalny człowieka przebiega w sposób ciągły – nie ma w nim nigdzie jakiegoś nagłego skoku, którego występowanie pozwalałoby na stwierdzenie, że to, co występuje po nim, już jest człowiekiem, a to, co jest przed nim, jeszcze nim nie jest.

Pogląd, że płód, embrion – nawet na bardzo wczesnym etapie rozwoju – czy choćby zygota jest człowiekiem nie jest, o czym tu wcześniej wspomniałem – poglądem bzdurnym, nie mającym żadnego oparcia w niemożliwych do zanegowania faktach. Na pewno nie jest to pogląd tego rodzaju, co np. pogląd, że Ziemia jest płaska – oparty na niewątpliwym fakcie, że faktycznie wydaje się ona płaska, gdy się na niej stoi – no, i na tym, że Biblia nic nie mówi o tym, by Ziemia była okrągła. Ale jest to pogląd wyrażany i wyznawany tylko przez część ludzi – zazwyczaj zażartych antyaborcjonistów. Wielu ludzi – słusznie czy nie słusznie – ale po prostu nie zgadza się z tym poglądem – to jest po prostu fakt. Myślę jednak, że niezależnie od stopnia zgody, czy niezgody odnośnie poglądu, że człowiekiem jest już choćby zygota, spodziewać się można dużego stopnia zgody co do poglądu, że człowiekiem jest już płód, który niebawem stanie się urodzonym już dzieckiem.

Odnosnie tego, że człowiekiem – a w każdym razie kimś zasługującym na jakiś – choć nie jest z góry powiedziane, że na dokładnie taki sam, jak w przypadku kogoś już urodzonego – stopień ochrony prawnej – jest mające się niedługo urodzić dziecko – jest więc (może nie absolutny – nie znam bynajmniej wszelkich poglądów na ten temat – ale na pewno szeroki) –

konsensus. Takiego konsensusu nie ma jednak w odniesieniu do płodu na wczesnym etapie jego rozwoju. Jeśli więc ktoś w drodze prawa przewidującego sankcje karne za jego złamanie chce narzucić całemu społeczeństwu pogląd, że płód (czy wcześniej embriion) od pierwszych chwil swego istnienia jest człowiekiem – lub może lepiej mówiąc praktyczne konsekwencje takiego poglądu w postaci zakazu aborcji; nie mówimy tu, zgoda co do tego, o narzucaniu wspomnianego poglądu w sensie zmuszania ludzi do jego wyznawania czy zakazywania krytykowania takiego poglądu (choć nie wiem, czy niektórzy antyaborcjonisci nie chcieliby aby zakazu negowania człowieczeństwa embriona czy płodu – na takiej np. zasadzie, w jakiej w wielu krajach – w tym także w Polsce – zakazane jest negowanie np. zbrodni hitlerowskich) to chce narzucić społeczeństwu pogląd będący poglądem jakiejś tylko części owego społeczeństwa.

Są przy tym, uważam, dodatkowe powody do tego, by pogląd, że płód, embriion, czy – jak to często mówią przeciwnicy dopuszczalności aborcji „dziecko poczęte” – od samego początku swego istnienia jest człowiekiem nie mógł być podstawą obowiązującego wszystkich prawa. W tym tekście przytaczałem możliwe naukowe uzasadnienia takiego poglądu. I oczywiście, zwolennicy zakazu aborcji powołują się na ustalenia nauki. Lecz nie ma jednak żadnej wątpliwości co do tego, że głównym *spiritus movens* dążenia do zakazania aborcji są organizacje religijne. W USA zakazania aborcji chciałyby m.in. niektóre kościoły protestanckie. W Polsce siłą, która dążyła do zakazania aborcji – i dopięła swego, choć w stopniu może dla niej nie całkiem zadowalający – był Kościół Katolicki. Motywacją zakazów aborcji są więc przede wszystkim poglądy o charakterze religijnym.

Można dyskutować o tym, jak mocne są właśnie religijne podstawy twierdzenia, że aborcja powinna być czymś prawnie zakazanym. W Biblii, za przeproszeniem, z tego co się orientuję nie ma niczego, co by się bezpośrednio odnosiło do aborcji. Owszem, są fragmenty mówiące np. o tym, że Bóg ukształtował człowieka w łonie jego matki i znał go jeszcze przed jego urodzeniem – odnośnie takich stwierdzeń nikt, niezależnie od tego, czy wierzy w Boga czy też nie – nie zaprzeczy temu, że człowiek zostaje (stopniowo) ukształtowany fizycznie, zanim się urodzi, zaś co do zawartego również w Biblii stwierdzenia, że Bóg znał człowieka – tzn. wiedział, jaki on będzie jeszcze przed jego urodzeniem to można powiedzieć tyle, że Bóg – no cóż – wie przecież wszystko (jako przykład takich stwierdzeń zob. [rozdział I Księgi Jeremiasza](#)). Jest też w Biblii – wie to każdy, kto ma o niej choćby minimalne pojęcie – zapisane przykazanie Boskie „Nie zabijaj”. Jest ono współcześnie pojmowane przez religijnie motywowanych przeciwników aborcji jako główne źródło uzasadnienia poglądu, że aborcja powinna być prawnie zakazana.

Z uzasadnieniem zakazu aborcji w oparciu o V przykazanie Boskie są jednak, wydaje mi się, pewne problemy. Większość ludzi wierzących – tzn. chrześcijan – skłonnych jest obecnie interpretować to przykazanie jako ustanawiające absolutny – czy prawie absolutny – zakaz zabijania innych ludzi. Napisałem „prawie absolutny” gdyż większość ludzi – w tym, można powiedzieć, również takich, którzy jak najbardziej „podpisują się” pod tym przykazaniem – jest zdania, że nie powinno być czymś zakazanym prawnie (ani że nie jest czymś niedopuszczalnym moralnie) zabicie kogoś np. w obronie koniecznej. Są tacy – to również są ludzie wierzący i nie można im odmówić prawa do nazywania się takimi – którzy za rzecz dopuszczalną uważają karę śmierci – choć z reguły przyzwalają oni na nią tylko w przypadku

niektórych, najcięższych przestępstw – takich, jak rozmyślnie dokonane zabójstwo. Są również tacy, którzy uważają, że wynikająca z tego przykazania moralna zasada niezabijania powinna obejmować nie tylko niezabijanie ludzi, ale także niezabijanie zwierząt.

Że takie poglądy odnośnie niedopuszczalności zabijania ludzi przeważają we współczesnym świecie – to bardzo dobrze. Choć można mieć pewną wątpliwość, czy w jakimś stopniu wynikają one z V Przykazania. Japonia nie jest krajem chrześcijańskim, większość Japończyków nie zna – jak sądzę – Biblii, w tym Dekalogu – a czy poglądy przeciętnego Japończyka na temat dopuszczalności zabijania ludzi różnią się cokolwiek od poglądów, jakie w tym względzie wyznaje przeciętny, na pewno znający Dekalog Polak?

To są jednak poglądy – i po prostu ogólnie przyjęte normy zachowania – dominujące w czasach współczesnych. Z tekstu Biblii łatwo można wywnioskować – choć nie proponuję, by w praktyce wysnuwać z niej takie wnioski odnośnie tego, kiedy jednak wolno zabijać ludzi – że przykazanie „Nie zabijaj” bynajmniej nie miało znaczyć po prostu „nie zabijaj”. Zwróćmy uwagę – w [20 rozdziale biblijnej Księgi Wyjścia](#) sformułowane jest m.in. przykazanie „Nie będziesz zabijał”. Lecz już w następnym [21 rozdziale](#) zapisane w nim prawo mówi m.in., że „Kto by złorzeczył ojcu albo matce, winien być ukarany śmiercią” – i biblijny tekst nie pozostawia, jak mi się zdaje, wątpliwości co do tego, że jest to prawo podyktowane Mojżeszowi przez Boga, a nie jakieś prawo po prostu wymyślone oddolnie przez ludzi. Prawo biblijne przewiduje też karę śmierci za takie przestępstwa, jak uprawianie czarów oraz zoofilia i homoseksualizm. Z pewnością przykazania „Nie zabijaj” jako po prostu nie zabijaj (przynajmniej ludzi) nie rozumiał Mojżesz, który otrzymał od Boga m.in. to przykazanie, zapisane na jednej z dwóch kamiennych tablic Dekalogu – świadczy o tym choćby fakt zorganizowania z jego inicjatywy masakry czcicieli Złotego Cielca, w wyniku której zginęło około 3000 mężów – a następnie jej pochwalenie. Kto trochę zna Biblię wie, że Bóg kazał Izraelitom doszczętnie wyrzynać całe plemiona czy narody, które stanęły im na drodze do Ziemi Obiecanej.

Idąc dalej – Jezus niewątpliwie był bardzo zdecydowanym – jeśli tak można powiedzieć – anty-przemocowcem. Bardzo zdecydowanie nikogo nie zabił, nie kazał zabić, nie inicjował zabicia, nie pochwałił go, ani też nic w Jego nauczaniu nie sugeruje, by uważał On je za w jakichś sytuacjach dopuszczalne (choć wydaje się, że przyjmował je czasem jako po prostu część otaczającej go rzeczywistości. I tak np. wisząc na krzyżu nie wypowiedział do „dobrego łotra” żadnych słów krytykujących karę śmierci – a tylko zapewnił go, że jeszcze tego samego dnia będzie razem z Nim w raju. Kara śmierci w czasach Jezusa była – sorry – czymś normalnym). Lecz Kościół, któremu Jezus dał początek, zabijaniem ludzi bynajmniej się nie wzdrygał. Przeciwnie, zabijanie organizował – w postaci np. wypraw krzyżowych, wojen religijnych czy praktyk Inkwizycji – bądź przynajmniej akceptował – w postaci choćby nader szeroko stosowanej w dawnych wiekach kary śmierci.

Można więc się w pewnym stopniu dziwić, dlaczego dla np. Kościoła Katolickiego – który w przeszłości w całym szerokim zakresie akceptował zabijanie ludzi (choć rzecz jasna nigdy nie akceptował pospolitych zabójstw) – problem aborcji stał się swego rodzaju obsesją – z wypowiedzi niektórych przedstawicieli tego Kościoła można było wywnioskować, jakoby aborcja była największym (czy niemal największym) złem i zbrodnią tego świata. Ale, powiedzmy, że poglądy – także Kościoła – ewoluowały – i w sumie bardzo dobrze.

Powiedzmy sobie jednak, jaka jest współczesna doktryna Kościoła Katolickiego na temat człowieczeństwa płodu czy embriona – a co za tym idzie dopuszczalności aborcji. Doktryna ta jest taka, że w momencie zapłodnienia Bóg stwarza duszę człowieka (nie wchodzimy tu w kwestię dawnych poglądów, np. Św. Tomasza z Akwinu, w myśl których Bóg obdarzał człowieka duszą 40 dni po zapłodnieniu – poglądy te oparte były na kompletnie innej od dzisiejszej wiedzy o rozwoju embrionalnym człowieka). Jeśli więc zygota, a więc tym bardziej embrion, czy płód posiada duszę, to jest człowiekiem. A jeśli nim jest, to nie wolno go zabić.

W powyższym poglądzie – niezależnie od jego np. biblijnego zakorzenienia – Biblia, przepraszam bardzo, nie mówi wszystkiego, a taka rzecz, jak proces zapłodnienia była w czasach biblijnych czymś po prostu nieznanym – niewątpliwie jest jakaś logika. Jeśli człowiek ma duszę – a ja osobiście myślę, że ją ma – to kiedy, jak nie w momencie (choć z tym „momentem” jest, o ile wiem, spory problem: zapłodnienie nie jest bynajmniej „momentem” lecz procesem, trwającym, jak się orientuję, jakieś 24 godziny) zapłodnienia miałyby ona powstawać? Lecz z mającym w sobie niewątpliwie jakąś logikę twierdzeniem, że w czasie zapłodnienia powstaje dusza człowieka jest problem, czy takie twierdzenie (chciałbym zauważyć, że w dyskusjach na temat dopuszczalności aborcji raczej nie używane wprost w roli argumentu na rzecz jej zakazu – ale niewątpliwie wyznawane przez bardzo znaczną część jego zwolenników) może stanowić podstawę stanowienia prawa w państwie, w którym oprócz ludzi wierzących w prawdziwość takiego twierdzenia są też i tacy, którzy w ogóle nie wierzą np. w to, że człowiek ma jakąś tam duszę, bądź nie wierzą po prostu w Boga. Narzucanie całemu społeczeństwu prawa, którego uzasadnieniem są dogmaty religijne jest bez wątpienia cechą państwa wyznaniowego. Polska zaś, zgodnie z Konstytucją nie jest (a w każdym razie nie powinna być) – mimo pewnych koncesji na rzecz kościołów – np. dopuszczania nauki religii w szkole (która np. w USA – gdy chodzi o szkoły publiczne uważana jest za niezgodną z tzw. klauzulą nieustanawiania religii i Poprawki do Konstytucji) czy szczególnej regulacji stosunków Państwa z Kościołem Katolickim – państwem wyznaniowym. Art. 25 ust. 2 Konstytucji mówi, że „Władze publiczne w Rzeczypospolitej Polskiej zachowują bezstronność w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych, zapewniając swobodę ich wyrażania w życiu publicznym”. Pojęcie „bezstronności w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych” oznacza m.in. to, że uzasadnieniem stanowionych w polskim państwie praw nie mogą być wyłącznie poglądy właściwe dla jakiejś religii (bądź nawet wszelkich religii, lecz nie światopoglądów o charakterze świeckim), jakiegoś określonego światopoglądu czy filozofii – co nie znaczy oczywiście tego, że nie mogą być one zbieżne z jakimiś doktrynami religijnymi, filozoficznymi itp. Z faktu, że Dekalog – a więc tekst ponad wszelką wątpliwość stricte religijny – zawiera takie przykazania, jak „nie zabijaj” „nie kradnij” i „nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu” nikt chyba nie wyciągnie wniosku, że fakt, iż kodeks karny zawiera przepisy zabraniające zabójstwa, kradzieży i składania fałszywych zeznań w sądzie implikuje niezgodność tych przepisów z konstytucją. Ale zakazy zabójstwa, kradzieży, czy fałszywych zeznań – choć zgoda, że zapisane w Dekalogu – dadzą się uzasadnić na gruncie całkowicie świeckim. Odnosnie zabójstwa jasne jest chyba, że nikt – poza ewentualnie takimi, którzy nie chcą żyć, lecz nie mają odwagi popełnić samobójstwa –

nie chce, aby coś takiego go spotkało. Zabójstwo wyrządza krzywdę nie tylko zabitemu, ale jego rodzinie, przyjaciołom, znajomym itd. Co do kradzieży nie ma generalnie rzecz biorąc wątpliwości co do tego, że w życiu ludzi generalnie rzecz biorąc ważną rolę odgrywa ich własność – a także pewność tej własności – zaś przyzwolenie na kradzież mogłoby prowadzić do tego, że tej pewności byliby oni pozbawieni (czy że zwiększyłyby się stopień owego braku pewności). Składanie fałszywych zeznań w sądzie może prowadzić do wydawania niesprawiedliwych, niezgodnych z prawdą materialną wyroków – co też w oczywisty sposób jest rzeczą, do której nie można dopuścić. Zakazy zabójstwa, kradzieży i fałszywych zeznań – choć zapisane w tekście religijnym – w dobry sposób można uzasadnić na gruncie religijnie neutralnym. Wątpliwe jest jednak, czy w ten sposób można uzasadnić zakaz aborcji – a szczególnie aborcji we wczesnym okresie ciąży. Oczywiście, zwolennicy zakazu aborcji powołują się na konieczność ochrony ludzkiego życia, która jako taka nie budzi wątpliwości. Lecz czy uzasadnieniem zakazu aborcji może być fakt, że embriion czy też płód jest – w jakimś przynajmniej sensie – ludzkim życiem? Problem z takim uzasadnieniem jest taki, że w przypadku zakazu aborcji chroni się prawnie ludzkie życie, po prostu dlatego, bo jest to ludzkie życie. Można do takiej ochrony ludzkiego życia podchodzić w sposób w miarę choćby spójny? Niewątpliwie, w przypadku choćby nawet zygoty mamy do czynienia z *jakimś* ludzkim życiem. Mamy z nim do czynienia w przypadku embriiona będącego na tym etapie rozwoju, na którym nie doszło jeszcze do rozwoju, czy tym bardziej aktywności mózgu. Ale z ludzkim życiem mamy też wciąż do czynienia w przypadku człowieka, którego mózg już nie funkcjonuje. Oczywiście, jest pewna różnica między człowiekiem, u którego nastąpiła śmierć mózgu – a więc takim, u którego mózg już nie działa – a embriionem, u którego mózg jeszcze nie działa. Ten drugi ma duże szanse stać się czującą i myślącą osobą – jeśli np. nie usunie się go z macicy kobiety w wyniku aborcji – natomiast ten pierwszy nie ma na coś takiego jakichkolwiek szans. Lecz dla radykalnych przeciwników dopuszczalności aborcji, którzy chcieliby zmusić kobiety do rodzenia np. dzieci, które w ogóle nie mają mózgu (i żadnej szansy na przeżycie po porodzie – no, chyba że jakoś bardzo krótko) różnica ta, na zdrowy rozum, powinna być kompletnie nieistotna. Ludzie tacy powinni być – logicznie rzecz biorąc – przeciwnikami dopuszczalności przeszczepów, gdyż serce, nerki, wątrobę, czy inne przeszczepiane narządy wyjmuje się z ciała osoby, która jest żywa takim samym sensie, w jakim żywy jest nieposiadający mózgu płód.

Weźmy też pod uwagę inną, niż transplantacja jakiegoś narządu procedurę medyczną, jaką jest sztuczne zapłodnienie tzw. metodą *in vitro*. W niektórych przypadkach podejmowania próby poczęcia dziecka tą metodą stosuje się tzw. diagnostykę preimplantacyjną. Celem stosowania takiej diagnostyki jest uniknięcie urodzenia się dziecka mającego wady wrodzone warunkowane genetycznie. Niekiedy w trakcie tej procedury badany jest jedynie materiał genetyczny komórek jajowych kobiety. Taka procedura mogłaby być jako tako tolerowana przez niektórych przynajmniej zwolenników tezy, że zygota, czy też embriion jest człowiekiem, gdyż również zwolennicy takiego twierdzenia zgodzą się z tym, że niezapłodniona komórka jajowa człowiekiem jeszcze nie jest. Tzw. diagnostykę preimplantacyjną stosuje się jednak także w odniesieniu do powstałych już zarodków. Polega ona na tym, że bada się materiał genetyczny zarodka w celu ewentualnego stwierdzenia, czy występują w nim jakieś nieprawidłowości. Jeśli takie nieprawidłowości zostaną stwierdzone,

zarodek taki nie jest przenoszony do macicy kobiety, lecz – przypuszczam tak w każdym razie – najczęściej po prostu unicestwiany, np. poprzez zwyczajne wylanie go do zlewu.

Procedura diagnostyki preinplantacyjnej z pewnością nie jest czymś mającym wyrządzić komukolwiek krzywdę – jej celem jest zapobieżenie wyrządzeniu krzywdy kobiecie, jaką byłoby urodzenie upośledzonego czy niezdolnego do życia dziecka, bądź też doprowadzenie do sytuacji, w której doszłoby do obumarcia płodu w macicy jeszcze przed porodem. Byłoby oczywistą – na zdrowy rozum – bzdurą twierdzenie, że nie wszczęcie do macicy kobiety zarodka mającego uszkodzenia genetyczne i po prostu pozbycie się go, co powoduje jego śmierć, wyrządza owemu zarodkowi jakąś krzywdę. Prędzej, w niektórych przynajmniej przypadkach, dałoby się twierdzić, krzywdą wyrządzoną w jakimś sensie owemu zarodkowi byłoby wszczęcie go do macicy kobiety i doprowadzenie do urodzenia się np. jakiegoś ciężko chorego czy kalekiego dziecka, którego życie byłoby pasmem cierpień.

Lecz odtwórzmy myślenie kogoś, kto uważa, że zygota – czy zarodek na bardzo nawet wczesnym etapie rozwoju – jest człowiekiem. Radykalni „obrońcy życia poczętego” uważają, że człowiek – którym w ich rozumowaniu jest już zapłodniona komórka jajowa – nie przestaje być człowiekiem z tego powodu, że ma takie czy inne wady genetyczne. I z pewnością generalnie rzecz biorąc zgodzimy się co do tego, że ludzie obarczeni takimi czy innymi wadami genetycznymi są ludźmi. A jeśli ten mający takie czy inne uszkodzenia genetyczne zarodek jest człowiekiem, to pozbycie się go – w formie wyrzucenia go np. do szpitalnych odpadów – jest logicznie rzecz biorąc, morderstwem. I powinno być karane jako morderstwo. Taka jest, czy też powinna być (gdyby ją naprawdę konsekwentnie stosować) logika wynikająca z przyjęcia poglądu, że zygota, czy kilkudniowy embriion jest człowiekiem, ale zgodzimy się chyba co do tego, że jest to logika szalona?

Z twierdzenia, że zygota, czy zaczynający się dopiero rozwijać embriion jest człowiekiem logicznie rzecz biorąc powinien wynikać też wniosek, że aborcja – czy to dokonana metodą chirurgiczną, czy też tzw. aborcja farmakologiczna – powinna, nawet gdy ma miejsce na bardzo wczesnym etapie ciąży być uznawana prawnie za morderstwo i karana jako takie. Lecz czy ludzie wypowiadający takie twierdzenie – bądź podpisujący się pod nim – akceptują taką – logicznie wynikającą z niego konkluzję? Próbując odpowiedzieć na to pytanie nie mogę się oczywiście wypowiedzieć na temat wszystkich osób, które uważają, że zygota jest człowiekiem i w związku z tym aborcja powinna być prawnie zakazana – być może niektóre z takich osób uważają, że aborcja powinna być zrównana z zabójstwem. Oczywiście osobom takim – jeśli one istnieją – warto byłoby zadać dodatkowe pytania, poza samym tylko pytaniem o to, czy aborcja powinna być podciągnięta pod przepis kodeksu karnego o morderstwie. Np. takie, czy uważają oni, że kobieta powinna podlegać odpowiedzialności karnej za zachowania nawet nieumyślnie prowadzące czy mogące prowadzić do śmierci płodu – w kodeksie karnym są wszak wymienione takie przestępstwa, jak nieumyślne spowodowanie śmierci człowieka i spowodowanie – także w sposób nieumyślny - bezpośredniego niebezpieczeństwa utraty życia przez człowieka lub ciężkiego uszczerbku na jego zdrowiu. Bo jeśli ktoś uważa, że płód jest człowiekiem, to jego odpowiedź na takie pytanie logicznie rzecz biorąc powinna brzmieć „tak”. Dużo jednak znajdzie się ludzi – w tym nawet bardzo zażartych „obrońców życia poczętego” – którzy wyznają takie poglądy? Niezależnie jednak od tego, czy tacy ludzie w ogóle istnieją – podejrzewam, że nie – a gdyby

nawet mieli oni istnieć, to poglądami jakiejś garstki osób i to do tego garstki, przypuszczam, jedynie hipotetycznej nie ma się co przejmować – niezbitym faktem jest to, że co najmniej zdecydowana większość zwolenników zakazu aborcji – i to zwolenników bardzo radykalnych, chcących np. zabronić aborcji nie tylko w przypadku podejrzenia wad płodu (co zrobił Trybunał Konstytucyjny), ale także np. w przypadku ciąży pochodzącej z gwałtu czy ciąży stanowiącej zagrożenie dla zdrowia kobiety (choć nie – a w każdym razie nie bezpośrednio - jej życia) – nie postuluje, by aborcja była zagrożona taką samą karą, jak zabójstwo. I tak np. jak wspomniałem tu wcześniej Instytut Ordo Iuris przedstawił projekt zmiany w przepisach dotyczących aborcji, w myśl którego za dokonanie aborcji (a także, zdaje się, za świadome dopuszczenie do dokonania u siebie takiego zabiegu) groziłaby kara do 5 lat więzienia. *Per se* niewątpliwie poważna – 5 lat odsiadki to nie jest, za przeproszeniem, pikuś, ale mimo wszystko znacznie mniejsza od przewidzianej za zabójstwo (od 8 lat do nawet dożywocia). Ujawnia się tu więc pewna sprzeczność: ludzie uważający, że płody, embriony, czy choćby zygoty są ludźmi i chcący z tego powodu zakazać aborcji – w większym nawet stopniu, niż te, w jakim aborcja jest już w Polsce zakazana – nie chcą tych w ich opinii ludzi chronić przed zabójstwami – którymi logicznie rzecz biorąc muszą być ich zdaniem aborcje – w takim samym (przynajmniej jeśli chodzi o wymiar kary grożący za to przestępstwo) stopniu, w jakim przed zabójstwami chronieni są wszyscy inni ludzie. Albo więc jest tak, że ludzie tacy uznają, że pewna kategoria osób, jaką są nienarodzeni może być dyskryminowana, jeśli chodzi o stopień prawnej ochrony ich życia, albo.... co najmniej milcząco przyznają, że płody, embriony, czy zygoty ludźmi – w takim samym w każdym razie sensie, jak ludzie już urodzeni, jeszcze jednak nie są.

Pogląd, że zygotą, embrion bądź zaczynający się rozwijać płód jest człowiekiem nie może być więc w szanującym prawa i wolności swych mieszkańców, neutralnym (czy „bezzstronnym” jak chce tego nasza konstytucja) światopoglądowo państwie podstawą prawa przewidującego kary za jego złamanie. Ale, jak już wspomniałem to, że embrion czy płód nie jest człowiekiem od samego początku, to nie znaczy, że się nim nie staje. Proces rozwoju embrionalnego człowieka (przepraszam bardzo, ale zauważam tu jedną rzecz, a mianowicie problem z określeniami. Nawet ci, którzy uważają, że płód czy embrion nie jest człowiekiem mówią – jak sądzę – o czymś takim, jak np. poczęcie dziecka. Czy o rozwoju dziecka w łonie matki – i nie wyklócają się specjalnie o to, że to jeszcze nie jest dziecko. Po prostu, z nazywaniem pewnych zjawisk – takich, jak te dotyczące rozwoju człowieka – no właśnie *człowieka*, jak to inaczej nazwać? – jeszcze przed jego urodzeniem istnieją problemy na poziomie czysto językowym. Czegokolwiek byśmy nie sądzili o aborcji, jesteśmy – jak mi się wydaje – po prostu przyzwyczajeni do używania pewnych słów. Problem ten może byłby mniejszy wówczas, gdyby np. ludzie przechodzili w swym rozwoju jakieś widoczne dla wszystkich stadium larwalne. Jakby nie było – gąsienicy nie nazywamy przecież motylem) polega na tym, że coś, co było początkowo pojedynczą komórką przekształca się w coś – albo kogoś – tu, znów kwestia konwencji językowej – co (kto) jest człowiekiem.

Ten proces jest – co podnoszą przeciwnicy dopuszczalności aborcji - ciągły i stopniowy. Ale w ciągłych i stopniowych procesach możemy jednak – przynajmniej niekiedy – wyodrębnić ich pewne etapy. W przypadku rozwoju płodowego człowieka istnieją przesłanki pozwalające – oczywiście, w sposób niepewny i niedokładny – określić np. to., kiedy płód może być

zdolny do odczuwania bólu, na który mógłby być narażony wskutek dokonania na nim aborcji, albo kiedy może on przeżyć – choćby ze sztucznym wspomaganie – poza organizmem jego matki.

Granica między stanem, w którym płód ma już te zdolności, lub przynajmniej jedną z nich nie jest – jak powyżej wspomniałem – ostra i oczywista. Czy nieostrość i nieoczywistość wspomnianej granicy oznacza jednak to, że wyznaczenie granicy między np. terminem, do którego przerwanie ciąży powinno być swobodnie dozwolone, a po którym już nie musi się opierać na jakimś kompletnie arbitralnym ustaleniu, nieopartym o żadne obiektywne kryteria?

Otóż, moim zdaniem już sam fakt, iż to, że płód w jakimś okresie swojego życia posiada takie zdolności, jak zdolność odczuwania bólu, a także zdolność do tego, by przeżyć jako oddzielony od ciała swej matki organizm wskazuje na to, że wyznaczenie wspomnianej granicy nie musi być jakieś kompletnie arbitralne. Owszem, we wspomnianych sprawach istnieje niewątpliwie jakiś zakres niepewności – jakaś, nazwijmy to, szara strefa. Ale ten zakres niepewności – szarą strefę – możemy porównać np. do odcinka papieru, który początkowo jest biały, później zaczyna być minimalnie szarawy, potem nieco bardziej szary, następnie coraz bardziej szary, jeszcze dalej naprawdę ciemnoszary, później prawie czarny i wreszcie zupełnie czarny. W przypadku tego odcinka papieru – hipotetycznie rzecz biorąc mogącego być np. jakimś abstrakcyjnym malowidłem – może nie być łatwo wyznaczyć granicę między bielą i czernią, czy, powiedzmy, między bielą, szarością i czernią. Możemy nie być pewni, czy jakiś odcinek tego obrazka jest już czarny, czy jeszcze nie całkiem. Możemy jednak określić np. to, w jakim mniej więcej miejscu ów odcinek papieru staje się już czarny. Albo w jakim przestaje być już biały.

Rzecz jasna, rozwój embrionalny człowieka nie jest abstrakcyjnym obrazkiem, namalowanym w taki sposób, że następuje w nim stopniowe przejście od bieli do czerni. Stopień niepewności odnośnie np. tego, w jakim momencie swego życia płód może odczuwać ból jest – jak sądzę – o wiele większy od stopnia niepewności odnośnie tego, czy wspomniany odcinek papieru (albo np. płótna – bądź czegoś przedstawionego na komputerowym ekranie) jest już czarny, czy jeszcze nie. To drugie może stwierdzić „na oko”. Tego pierwszego w ten sposób stwierdzić się oczywiście nie da. Teoretycznie rzecz biorąc można byłoby podejmować próby ustalenia w empiryczny sposób momentu, kiedy płód nabiera taką zdolność, lecz podejmowanie takich prób (przynajmniej bez zgody matki dziecka, z których żadna, można być tego pewnym, na podejmowanie takich prób w celach czysto naukowych by się nie zgodziła) byłoby niewątpliwie czymś wysoce nieetycznym.

Nie znaczy to jednak, że w kwestii takiej, jak odczuwanie bólu przez płód niewiadome jest po prostu wszystko. I tak np. z artykułu Katarzyny Kosińskiej – Kaczyńskiej i Mirosława Wielgosia „Czy płód może odczuwać ból?” wynika to, że na podstawie hormonalnych i hemodynamicznych reakcji płodu na bodźce bólowe, podstaw neuroanatomicznych oraz obserwacji dzieci urodzonych przedwcześnie można powiedzieć, że płód ludzki jest zdolny do odczuwania bólu po 24. tygodniu ciąży. W artykule tym stwierdzone też jednak zostało, że nie jest wykluczone, iż płód może odczuwać ból nawet we wcześniejszym okresie swego rozwoju. Na jakim etapie życia płodu owa zdolność może już jednak występować? Otóż, jak piszą autorzy wspomnianego artykułu „Glover i Fisk, autorzy prac dotyczących reakcji stresowych w życiu wewnątrzmacicznym, stoją na stanowisku, iż płód ludzki może odczuwać

ból już po 20 tygodniu. Van de Velde twierdzi, iż płód na pewno jest zdolny do reakcji na bodziec bólowy po 24 tygodniu, natomiast możliwe jest, iż częściowo nabywa tej zdolności już od 16 tygodnia ciąży”. Wypada jednak podkreślić, że są autorzy będący zdania, że do odczuwania bólu płód może być zdolny dopiero po 30 tygodniu ciąży. Są też i tacy, którzy uważają, że płód do końca ciąży nie może odczuwać żadnego bólu, bo w życiu wewnątrzmacicznym nie jest świadomy. Jest w takim stanie, jak człowiek znajdujący się w nieustannym, głębokim śnie.

Jak do tych niepewnych ustaleń dotyczących kwestii zdolności odczuwania bólu przez płód powinno odnosić się prawo regulujące kwestię dopuszczalności aborcji? Otóż, osobiście myślę, że ustalając, od kiedy aborcja nie powinna być swobodnie dopuszczalna z tego względu, że płód może być narażony na ból spowodowany jej dokonywaniem należy kierować się dwiema zasadami: zasadą ostrożności i zasadą zdrowego rozsądku. Zasada ostrożności mówi w tym przypadku to, że jeśli mamy uzasadnioną wątpliwość odnośnie tego, czy na danym etapie ciąży płód może odczuwać ból, to należy – dla potrzeb prawnych – uznać, że może. Zasada rozsądku mówi z kolei to, że wątpliwość, o której tu jest mowa, musi być wątpliwością uzasadnioną. Nie należy przypisywać zdolności odczuwania bólu płodowi, u którego połączenia nerwowe nie są jeszcze rozwinięte na tyle, by w racjonalny sposób można było podejrzewać, że może on ból faktycznie odczuwać.

We wspomnianym powyżej fragmencie artykułu Katarzyny Kosińskiej – Kaczyńskiej i Mirosława Wielgosia przytoczona została opinia – sformułowana niewątpliwie przez znającego się na rzeczy naukowca – że płód może nabywać jakieś zdolności do reagowania na bodźce bólowe już w 16 tygodniu ciąży. Czy więc to może np. 15 tydzień ciąży powinien być ostatnim momentem, kiedy aborcja powinna być dostępna na żądanie będącej w ciąży kobiety? Tego nie wiem, wolę być bardzo ostrożny w wypowiedaniu się na ten temat. Ale, powiedzmy sobie szczerze, nie czepiałbym się – jako np. zbytnio ograniczających wolność kobiet i ich prawo do decydowania o swoim życiu osobistym (zob. art. 47 Konstytucji) – pomysłów, by granicą czasową, do której aborcji można byłoby dokonać po prostu dlatego, że kobieta jej chce był 12 tydzień ciąży. Byłoby ustalenie takiej akurat granicy czasowej dopuszczalności aborcji na życzenie kobiety (zauważmy, że taką właśnie granicę czasową dopuszczalności aborcji przewiduje polskie prawo w przypadku, gdy ciąża pochodzi z przestępstwa) czymś arbitralnym? Na pewno... lecz nie jest to, na zdrowy rozum, arbitralność większa, niż ta, z jaką mamy do czynienia np. w przypadku prawa mówiącego, że czynne prawo wyborcze nabierają osoby, które skończyły 18 lat.

Z prac naukowych wspomnianych w artykule Katarzyny Kosińskiej – Kaczyńskiej i Mirosława Wielgosia wynika jednak, że może być i tak, że płód nie jest zdolny do odczuwania bólu do samego końca ciąży. Gdyby tak rzeczywiście było, to możliwość odczuwania bólu przez płód w ogóle odpadałaby jako przesłanka zakazu aborcji. Aby jednak tę przesłankę odrzucić na tej podstawie, że płód na jakimkolwiek etapie swego rozwoju nie jest w stanie odczuwać bólu, ów brak zdolności odczuwania bólu przez płód należałoby jednak w sposób niebudzący racjonalnych wątpliwości udowodnić. A tego, jak się orientuję, jak dotąd nie zrobiono. Powinna mieć tu więc zastosowanie wspomniana już reguła ostrożności.

Ponadto, możliwość odczuwania bólu przez płód nie jest jedyną możliwą przesłanką ograniczenia możliwości dokonania aborcji w późnym okresie ciąży. Inną – jaką się wymienia (na takiej przesłance opiera się np. po części wspomniany już tu wyrok Sądu Najwyższego USA w sprawie Roe v. Wade) jest zdolność płodu do przeżycia poza organizmem jego matki.

Inaczej mówiąc, aborcja dokonana np. w 7, 8 czy 9 miesiącu ciąży nie wiąże się ze spowodowaniem śmierci płodu w sposób automatyczny, tak, jak z czymś takim wiąże się aborcja dokonana – powiedzmy – w 8 tygodniu. Aby – szybko w każdym razie – doprowadzić do jego śmierci – trzeba dokonać dodatkowego, poza samym wyłącznie usunięciem go z macicy, czynu powodującego jego śmierć.

Aborcja na późnym etapie ciąży w znacznie większym stopniu, niż dokonana w jej początkowej fazie, przypomina coś podobnego do zabójstwa – a już co najmniej zabicia wysoce rozwiniętego zwierzęcia (szczególnie, jeśli płód, co przecież jest jednak wysoce prawdopodobne, ma zdolność odczuwania bólu) co przecież jest zabronione i karalne. Powinno być może jednak coś takiego – w niektórych przynajmniej sytuacjach - dozwolone? Otóż trzeba powiedzieć że takie pomysły – choć w nielicznych póki co przypadkach – zostały zrealizowane. Wspomnieć tu można o uchwalonej w 2019 r. w amerykańskim stanie Nowy Jork [ustawie o zdrowiu reprodukcyjnym](#), która pozwala na aborcję wówczas, gdy ciąża trwa do 24 tygodni lub wtedy – i to się tyczy okresu aż do końca ciąży – gdy płód nie jest zdolny do przeżycia, albo gdy aborcja jest konieczna, by chronić życie lub zdrowie kobiety.

Z przytoczonego zapisu wynika, że aborcja po 24 tygodniu ciąży jest obecnie w stanie Nowy Jork dozwolona tylko pewnych, określonych prawem przypadkach – braku zdolności płodu do przeżycia, zagrożenia życia kobiety i zagrożenia jej zdrowia. Lecz warto zwrócić uwagę, że na mocy wspomnianej ustawy o zdrowiu reprodukcyjnym zmianie uległ § 125.00 nowojorskiego Prawa Karnego zawierający definicję zabójstwa. Z zawartego w nim zapisu, mówiącego, że „zabójstwo oznacza zachowanie, które powoduje śmierć osoby” (a dalej „w okolicznościach stanowiących morderstwo, zabójstwo (manslaughter) pierwszego stopnia, zabójstwo drugiego stopnia lub zabójstwo wynikające z przestępczego niedbalstwa”) wykreślone zostały słowa „lub nienarodzonego dziecka, z którym kobieta była w ciąży przez więcej, niż 24 tygodnie”. Tak więc, jakkolwiek ustawa o zdrowiu reprodukcyjnym pozwala na aborcję po 24 tygodniu – teoretycznie rzecz biorąc - jedynie wówczas, gdy płód nie jest w stanie przeżyć (czy to jeszcze w macicy, czy już po urodzeniu) albo wtedy, gdy ciąża zagraża życiu lub zdrowiu kobiety - to z faktu dokonania wspomnianej powyżej zmiany w § 125.00 Prawa Karnego stanu Nowy Jork można wnioskować, że aborcja również dokonana po 24 jest obecnie w stanie Nowy Jork bezkarna, obojętnie, z jakiego powodu zostałaby ona dokonana.

Odnosnie wprowadzonego niedawno nowojorskiego prawa aborcyjnego są oczywiście pewne pytania. Przede wszystkim – jak prawo to w praktyce działa? Czy po 24 tygodniu ciąży (to jest, przypomnę, okres, do którego płód najprawdopodobniej nie jest w stanie odczuwać bólu, w tym także spowodowanego aborcją) dokonywane są jedynie – jeśli muszą być, co sędzę, zdarza się naprawdę rzadko – aborcje w tych przypadkach, w których płód nie ma szans na przeżycie, albo w których aborcja jest niezbędna dla ratowania zdrowia lub życia kobiety, czy też prawo to jest *de facto* licencją na dokonanie aborcji do końca ciąży – a więc, jak rozumiem, do czasu porodu, czy tuż przed porodem – z tego po prostu powodu, że kobieta nie

chce mieć dziecka? Jeśli jest tak, że prawo to prowadzi do ewentualnego wykonywania aborcji tylko w tych przypadkach, odnośnie których prawo to w sposób wyraźny mówi, że aborcja jest w nich dozwolona – to wszystko w porządku. Lecz jeśli prowadzi ono do dokonywania aborcji, nawet na tak późnym etapie, jak np. 9 miesiąc ciąży po prostu dlatego, że ciężarna kobieta tak sobie zażyczyła, to miałbym co do niego spore wątpliwości.

Z czego jednak moje wątpliwości odnośnie aż tak liberalnego prawa aborcyjnego, jakie w 2019 r. uchwalono w stanie Nowy Jork wynikają? Rzecz jasna, w pewnym stopniu z odczuć odnośnie tego, czym jest liczący ponad 24 tygodnie (a więc blisko pół roku) płód – i stwierdzenia, że nie jest on tym samym, co zaczynający się rozwijać embrion, czy już tym bardziej zygota. Po drugie, wprowadzenie tak przyzwalającego na aborcję rozwiązania może – zwłaszcza w przypadku, gdy faktycznie prowadzi ono do dokonywania nawet skrajnie późnych aborcji z dowolnych powodów – być czymś niebezpiecznym politycznie. Aborcja – jak chyba wiemy – to temat wywołujący potężne emocje i namiętności. W Ameryce – choć oczywiście nie tylko tam (ale jednak najczęściej tam) – ludzie przejęci ideą świętości życia od chwili poczęcia i oburzeni przyzwoleniem na aborcję, które wynika ze wspomnianego tu wyroku Sądu Najwyższego USA w sprawie Roe v. Wade napadali na kliniki aborcyjne i nawet mordowali lekarzy wykonujących zabiegi przerwania ciąży. Oczywiście, emocji skrajnych antyaborcjonistów nie należy próbować uspokoić, wprowadzając zakaz aborcji, albo nawet jakieś znaczące ograniczenia możliwości jej dokonania, bo to może sprowokować takich ludzi do stawiania dalej i dalej idących żądań – w miarę, jak władze ich żądaniom ulegną. Ale niekoniecznie mądre też jest rozpalanie emocji takich osób poprzez uchwalanie prawa, które daleko wykracza poza to, czego wymaga orzeczenie w sprawie Roe v. Wade (a więc pełnej legalności aborcji w pierwszym trymestrze ciąży, legalności aborcji z zastrzeżeniem możliwości wymogów odnośnie standardów medycznych mających na celu ochronę zdrowia kobiety w drugim trymestrze i legalności aborcji nawet w trzecim trymestrze, jeżeli jest ona niezbędna dla ochrony życia lub zdrowia kobiety ciężarnej) i które może prowokować – dyskusyjne, powiedzmy sobie – twierdzenia o przyzwoleniu na zabijanie dzieci. Wprowadzenie tak daleko posuniętego prawa może mieć – jak sądzę – efekt podobny do tego, jaki ma mocne wychylenie w jedną stronę wahadła – jak wiemy, im bardziej wychyli się wahadło w jedną stronę, tym bardziej polecą ono w drugą, gdy tylko się je puści.

Lecz oczywiście, że zjawiskami zachodzącymi w życiu społecznym nie jest – trzeba też to stwierdzić – tak prosto, jak we wspomnianym powyżej przykładzie z wahadłem. Muszę też powiedzieć, że zupełnie nie wiem, jakie są faktyczne efekty społeczne uchwalenia wspomnianego tu nowojorskiego prawa o aborcji. Nie mam pojęcia, czy wywołało ono jakąś wściekłość – i tym bardziej agresję – grup sprzeciwiających się prawu do aborcji – albo wywołało jakiś „efekt wahadła” prowadząc np. do zwiększenia się liczby tych, którzy chcieliby wprowadzić większe restrykcje odnośnie dopuszczalności aborcji, niż takie, które w USA są według obecnego stanu prawnego dozwolone, bądź np. w ogóle zakazać aborcji. To są efekty wyobrażalne, ale w żadnym wypadku nie konieczne. To jednak, że uchwalenie takiego, jak nowojorskie rozwiązania mogłoby mieć jakieś tego rodzaju efekty jest dla mnie powodem, by być ostrożnym z lansowaniem jakiegos podobnego rozwiązania w Polsce.

Są też inne powody do tego, by sprzeciwiać się tak daleko, jak to ma obecnie w Nowym Jorku, posuniętemu prawu do przerwania ciąży – zakładając w każdym razie, że prawo to

pozwała na aborcję do końca ciąży z tak naprawdę dowolnego powodu. Zauważyłem tu już wcześniej (nie ma co zresztą specjalnie zauważać, bo to jest rzecz oczywista dla każdego człowieka wiedzącego, że dzieci rozwijają się brzuchu swej mamy i się rodzą, a nie że np. biorą się one niewiadomo skąd i przynosi je bocian) że nie ma istotnej różnicy między dzieckiem, które już się urodziło, a dzieckiem, które ma się urodzić za np. dzień, czy dwa dni – czy nawet, powiedzmy, dzieckiem, które ma się urodzić za miesiąc. Lub nawet więcej (aczkolwiek jest już istotna różnica między urodzonym, czy mającym się niedługo urodzić dzieckiem, a płodem w początkowym etapie swojego rozwoju).

Dziecka, które już się urodziło w sposób oczywisty nie wolno zabić. Kto by to zrobił, popełniłby morderstwo. Kobieta, która zażądałaby od kogoś np. przyjmującego jej poród, by zabił urodzone przez nią dziecko, mogłaby zostać uznana winną podżegania do morderstwa. Kobieta, która własnoręcznie zabija swoje dziecko w okresie porodu pod wpływem jego przebiegu jest, zgodnie z artykułem 149 kodeksu karnego traktowana łagodniej, niż zwykła morderczyni – może zostać skazana na karę od 3 miesięcy do 5 lat więzienia. Ale wciąż popełnia przestępstwo, podlegające nawet karze pozbawienia wolności (aczkolwiek taka kara, zgodnie z przepisami części ogólnej k.k. nie musi zostać wymierzona, zwłaszcza w postaci jej bezwzględnej formy, tj. odsiadki). I każdy chyba się z tym zgodzi, bo zabójstwo dziecka – żywej, czującej, mogącej się dalej rozwijać istoty nie może być po prostu tolerowane – nawet, gdy dokonuje go jego matka, popchnięta do tego czynu jakimiś emocjami związanymi z porodem.

Słuszność karalności dzieciobójstwa nie budzi więc – jak sądzę – wątpliwości (jak się orientuję, są nawet głosy opowiadające się za usunięciem tego typu zabójstwa uprzywilejowanego z kodeksu karnego, gdyż poród – zdaniem zwolenników takiego posunięcia – nie jest czynnikiem kryminogennym, powodującym u niektórych kobiet emocje popychające je do zabicia swojego dziecka). W sposób oczywisty nie budzi też wątpliwości słuszność karalności zabicia świeżo urodzonego dziecka na żądanie jego matki – co z prawnego punktu widzenia jest już po prostu morderstwem.

Lecz jeśli to, o czym była mowa powyżej, nie budzi wątpliwości, to wyobraźmy sobie następującą sytuację. Kobieta jest w 9 miesiącu ciąży. Jej dziecko dobrze się rozwija, ona sama nie obawia się – z powodu braku do tego racjonalnych przesłanek – o swoje życie, ani zdrowie. Jednak z jakiegoś powodu odechciewa się jej mieć dziecko. Dokonuje więc jakiegoś czynu (jakiego dokładnie nie wiem, po prostu nie znam się na tym), który powoduje to, że dziecko umiera jeszcze w jej łonie i rodzi się martwe. Odnośnie takiej – miejmy nadzieję – czysto hipotetycznej - kobiety zachodzi następujące pytanie: czy jest jakaś istotna różnica moralna między taką kobietą, a taką, która zabija swoje dziecko już w okresie porodu? Na moje wyczucie i na mój rozum – różnicy takiej nie ma. Wyobraźmy sobie dalej, że we wspomnianej sytuacji (a więc takiej, że zarówno kobieta, jak i jej dziecko są zdrowe) rozwijające się w brzuchu kobiety dziecko zabija nie osobiście ona, lecz na jej żądanie ktoś inny. Byłaby jakaś moralnie ważna różnica między kimś takim, a kimś, kto na żądanie kobiety zabija jej dziecko już po jego urodzeniu? Na zdrowy rozum, nie ma takiej różnicy.

Aborcja dokonana w późnym okresie ciąży jest więc czymś o wiele bardziej zbliżonym do zabójstwa, niż aborcja dokonana we wczesnej jej fazie – gdy płód nawet nie ma szansy czegokolwiek odczuwać i nie ma zdolności do przeżycia poza organizmem matki. Z tego też

powodu dużo mniej prawdopodobne, niż w przypadku zakazu nawet wczesnej aborcji, może być to, że zakaz takiej aborcji jest czymś, co dałoby się w sposób uczciwy uznać za jakieś okrutne i nieludzkie traktowanie kobiety. Jest jeszcze, uważam, jeden powód do tego, by zakazu późnej aborcji generalnie rzecz biorąc nie uważać za okrutne i nieludzkie traktowanie kobiety, zwłaszcza gdy (co oczywiście nie ma obecnie miejsca w Polsce) aborcja jest dopuszczalna (i do tego faktycznie dostępna) i to szczególnie dopuszczalna długo. Powód ten jest taki: kobieta, która zaszła w ciążę ma – w zakładanej przez mnie sytuacji – czas, żeby się zastanowić nad tym, czy chce ją usunąć, czy urodzić dziecko. Powiedzmy sobie szczerze, dużo czasu. Bo 3 miesiące to jest naprawdę niemało – a blisko pół roku? Jeśli fakt zajścia w ciążę wywołuje u niej jakieś negatywne emocje, to dzieje się tak – jak sądzę – raczej na początku ciąży, niedługo po stwierdzeniu przez nią tego faktu, a nie gdzieś pod koniec. Odnośnie bycia przez kobietę – której zdrowiu i życiu nic nie zagraża, ani też nic nie zagraża zdrowiu i życiu jej płodu - przez długi czas w ciąży węgierski filozof [Janos Kis](#) zauważył kiedyś (w swej wydanej w Polsce w 1993 r. książce „Aborcja: argumenty za i przeciw”), że można argumentować, że kobieta taka podejmuje się swego rodzaju zobowiązania na rzecz rozwijającego się w niej dziecka. Zobowiązanie to – przede wszystkim zobowiązanie, żeby tego dziecka nie zabić, poddając się zabiegowi aborcji – nie jest absolutne i może przestać ono obowiązywać w przypadku zajścia odpowiednio ważnych okoliczności – np. pojawienia się u kobiety zagrożenia dla jej życia lub zdrowia. Lecz jak każde inne zobowiązanie nie może zostać zerwane z po prostu jakiegokolwiek powodu. Można więc zatem twierdzić, że jeżeli będąca np. w 8 czy 9 miesiącu ciąży kobieta mówi „ja nie chcę mieć tego dziecka. Proszę, zróbcie u mnie aborcję” to wyraża swego rodzaju kaprys. Co jak co, ale odmowa spełnienia po prostu czyjegoś kaprysu nie jest jego „okrutnym i nieludzkim” traktowaniem – szczególnie, jeśli istnieją ważne powody (poza samym faktem, że mamy do czynienia z takim czy innym kaprysem) by tego kaprysu nie spełniać.

Zakaz dokonania aborcji w późnym okresie ciąży nie jest więc, przynajmniej z reguły, jakimś „okrutnym i nieludzkim” traktowaniem chcącej jej dokonania kobiety. Lecz czasem jednak może nim być. Jest nim np. wówczas, gdy życiu lub zdrowiu kobiety grozi niebezpieczeństwo, i niebezpieczeństwa tego nie da się uchylić inaczej, jak poprzez wykonanie aborcji. Jest nim także wówczas, gdy okazuje się, że kobieta nosi w sobie zdeformowany, czy niezdolny do życia płód. Oczywiście, kobieta powinna mieć święte prawo do tego, by urodzić niezdolne do życia dziecko, stracić zdrowie, czy nawet umrzeć. Ma prawo być bohaterką. Z pewnością jednak nikt nie ma prawa do tego, by zmuszać ją do bycia bohaterką. A do czegoś takiego zmuszałby kobietę zakaz aborcji we wspomnianych przypadkach nawet w późnym okresie ciąży.

Wspomniana powyżej nowojorska ustawa o zdrowiu reprodukcyjnym aborcji we wspomnianych przypadkach nie zakazuje – można byłoby nawet twierdzić, że pozwala ona na aborcję w tych przypadkach, w których niedopuszczalność przerwania ciąży byłaby – moim zdaniem – uzasadniona. Bo, jak było powyżej powiedziane, jakkolwiek w okresie powyżej 24 tygodnia ciąży pozwala ona na aborcję tylko w przypadku, gdy ciąża zagraża życiu lub zdrowiu kobiety, albo wówczas, gdy płód jest niezdolny do życia, to jednocześnie całkowicie znosi ona kary za aborcję – w jakichkolwiek przypadkach.

Wspomniałem już wcześniej, że mam wątpliwości odnośnie takiego rozwiązania. Ale czy na pewno jest ono nie do obrony? Próbując odpowiedzieć na tak postawione pytanie warto, myślę, odpowiedzieć na pytanie pomocnicze: co należy uznać za rzecz ważniejszą: czy karanie hipotetycznych lekarzy, wykonujących aborcje bez rzeczywistego medycznego powodu np. w 8 czy 9 miesiącu ciąży, czy ratowanie życia lub zdrowia kobiet, które byłoby zagrożone w przypadku niewykonania aborcji, nawet w późnym okresie ciąży (oczywiście, uważam, w takich przypadkach należy o ile się tylko da, ratować i kobietę i jej dziecko, ale jednak życie lub zdrowie kobiety powinno być z prawnego punktu widzenia uważane za sprawę priorytetową)? Dla mnie odpowiedź jest oczywista. Lecz warto tu zwrócić uwagę, że zagrożenie lekarza pociągnięciem do odpowiedzialności karnej za wykonanie nieuzasadnionej medycznie aborcji potencjalnie grozi odstraszeniem go od wykonania aborcji także wówczas, gdy jest ona uzasadniona z medycznego punktu widzenia. Przepraszam bardzo, ale ciągnięcie po prokuratorach czy sądach jest czymś, czego każdy normalny człowiek się – gdy potencjalnie może się na to narazić – boi. Ludzie ze strachu przed możliwą odpowiedzialnością karną – i potencjalnie nawet trafieniem do więzienia – mogą nie zrobić nawet czegoś, co nie jest prawnie zakazane – z obawy przed tym, że mogą stać się obiektem podejrzeń o popełnienie przestępstwa i narazić się na kłopoty. I lekarze z pewnością nie różnią się pod tym względem od innych.

Z takiego właśnie punktu widzenia warto popatrzeć się na nowojorską ustawę aborcyjną. Twórcy tej ustawy, zapisując w niej, że aborcja po 24 tygodniu ciąży może zostać wykonana w takich przypadkach, jak zagrożenie życia lub zdrowia kobiety, albo niezdolność płodu do przeżycia chcieli skłonić lekarzy do ewentualnego wykonywania aborcji w takim okresie tylko w takich właśnie przypadkach. Jednak, rezygnując z przewidzianych wcześniej przez nowojorskie Prawo Karne kar za aborcję postanowili oni przede wszystkim nie odstraszać lekarzy od wykonywania zabiegów, które są dozwolone przez wspomnianą powyżej ustawę – bardziej w każdym razie, niż odstraszać ich od wykonywania takich, jakie dozwolone przez nią nie są. Postanowili zaufać lekarzom i uznać, że rozstrzygnięcie ewentualnych wątpliwości co do kwestii medycznej konieczności aborcji powinno być sprawą ich, a nie prokuratorów i sądów karnych. Nie kierowali się znaną z polskiej praktyki stanowienia prawa zasadą „*nullum lege sine crimen*” – czyli, że nie ma ustawy bez przewidzianego przez nią przestępstwa. Dobro kobiet było dla nich najważniejsze – tak, że postanowili je chronić rezygnując z kar za aborcję nawet w odniesieniu do tych przypadków, w których, w świetle wyroku Sądu Najwyższego USA w sprawie *Roe v. Wade* byłyby one całkowicie dopuszczalne. Nie poszli za daleko z liberalizacją prawa dotyczącego aborcji? Można o tym, jak najbardziej dyskutować – z pewnością posunęli się znacznie dalej, niż wymaga od nich Konstytucja, rozumiana tak, jak w 1973 r. zinterpretował ją amerykański Sąd Najwyższy. Ale to, że zrobili rzecz konstytucyjnie *niewymaganą*, w żadnym przypadku nie oznacza, że zrobili rzecz konstytucyjnie *zakazaną*. I że zrobili coś merytorycznie rzecz biorąc złego. Ja myślę w każdym razie, że istnieją racjonalne przesłanki pozwalające bronić tej – faktycznie mocno kontrowersyjnej – ustawy.

Zostawmy jednak w spokoju jak najrzadziej – mam nadzieję – zdarzający się problem aborcji w 9, czy choćby nawet np. 6 miesiącu ciąży. Czymś, co mimo wszystko bardziej mnie interesuje jest problem zakazu aborcji we wczesnym okresie ciąży, bo większa część dyskusji

dotyczących tego, czy aborcja powinna być prawnie dozwolona czy też nie, koncentruje się jednak na aborcjach w tym okresie ciąży.

Swoje poglądy na ten temat wyrażałem już we wcześniejszej części tego tekstu, wykazując przede wszystkim absurd i sprzeczności wynikające z przyjęcia poglądu, że płód od samego początku swego zaistnienia – tj. od stadium zygoty – jest człowiekiem.

Wspomniałem też jednak tutaj, że można argumentować, iż aborcja powinna być zakazana – a w każdym razie, nie swobodnie dopuszczalna, nawet we wczesnym okresie ciąży – bez przyjęcia założenia, że płód jest człowiekiem. Nie tylko ludzie są czymś zasługującym na prawną ochronę przed zabijaniem. Zgodzimy się chyba co do tego, że na ochronę taką – w pewnym przynajmniej stopniu – zasługują np. zwierzęta, mimo że nie są one – i nie mają żadnej szansy na stanie się kiedykolwiek – ludźmi. Zaś ludzki płód, czegokolwiek by o nim nie uważać, z pewnością jest istotą, która – jeśli nie pozbawi się go życia w następstwie aborcji – ma wielkie szanse na to, by urodzić się i następnie żyć ileś czasu – być może dziesiątki lat lub nawet trochę więcej – jako człowiek.

Czy można uzasadnić zakaz aborcji tym, że płód jest potencjalnym, mającym szansę na przyszłe, wartościowe dla niego i dla innych życie, człowiekiem? Wśród argumentów przedstawianych jako uzasadnienie twierdzenia, że przerywanie ciąży powinno być prawnie zakazane można spotkać i taki, że aborcja jest czymś, co może zabić potencjalnego np. Einsteina. Oczywiście, prawdopodobieństwo tego, by w wyniku aborcji – a przynajmniej konkretnej aborcji - zginął ewentualny przyszły Einstein – czy ktoś, kto dokona jakichś rzeczy wybitnych, zasłużył się w wielkim stopniu dla ludzkości – jest na zdrowy rozum znikome. Lecz nie jest znikome, lecz naprawdę całkiem duże prawdopodobieństwo, że w wyniku zabity zostanie ktoś, kto bez jej przeprowadzenia nie stałby się może człowiekiem wielkim, lecz mimo wszystko stałby się człowiekiem mogącym żyć w sposób satysfakcjonujący, wartościowy i przynoszący jakąś dozę szczęścia i dobra dla niego i innych. Można, krótko mówiąc, uzasadnić zakaz aborcji tym, że zabijany w wyniku aborcji płód jest przyszłym człowiekiem?

Takie uzasadnienie zakazu aborcji nie jest, uważam, bezsensowne. Przede wszystkim, opiera się ono na niemożliwym do zanegowania w sensowny sposób fakcie: niezależnie od tego, czy płód jest, czy też nie jest człowiekiem – opinie na ten temat się różnią – nikt chyba nie ma wątpliwości, że będzie on człowiekiem – jeśli tylko pozwoli mu się urodzić jako dziecko. Wspomnianego rodzaju uzasadnienie zakazu aborcji jest też sensowne z tego rodzaju, że nie tworzy ono logiki prowadzącej do trudnych, jeśli w ogóle możliwych do przyjęcia dla kogokolwiek, włącznie z najbardziej zażartymi „obrońcami życia poczętego” wniosków. Ktoś uważający, że aborcja powinna być zabroniona z tego względu, że jest ona pozbawieniem – przekreśleniem, i to z góry – życia przyszłego człowieka nie musi być zdania, że aborcja powinna być zagrożona taką samą karą, jak morderstwo – ktoś uważający, że płód jest człowiekiem powinien, na zdrowy rozum, tak uważać – jeśli tak nie uważa, to popada w sprzeczność, z której może co prawda próbować wyjść argumentując np., że są ludzie zasługujący na większy i na mniejszy stopień prawnej ochrony życia, lecz która mimo wszystko każe przede wszystkim zadać pytanie, czy ktoś taki naprawdę uważa, że np. zygota jest człowiekiem, niczym tak naprawdę nie różniącym od człowieka już urodzonego, poza stopniem jego rozwoju (zauważmy przy tym, że skrajni przeciwnicy dopuszczalności aborcji

wypowiadają często twierdzenia, że nienarodzeni są tymi ludźmi, którzy są najsłabsi, najbardziej bezbronni i zasługujący z tym na największą ochronę. Taka jest rzeczywiście retoryka takich osób, lecz sam fakt, że nie domagają się oni – zazwyczaj przynajmniej – karania za aborcję tak samo, jak za zabójstwo każe zadać pytanie, czy naprawdę uważają oni nienarodzonych za – w pełnym znaczeniu tego słowa – ludzi). Dalej, ktoś uważający, że aborcja powinna być zakazana z tego powodu, że płód jest przyszłym, mającym szansę na późniejsze wartościowe dla niego i innych życie człowiekiem, może, jak najbardziej, zgadzać się na przyzwolenie na aborcję w pewnych określonych przypadkach. Logicznie rzecz biorąc, powinien się on zgadzać na możliwość dokonania aborcji w takich sytuacjach, w których płód nie ma szansy na stanie się człowiekiem mającym szansę na życie przynoszące choćby minimum szczęścia. Nie uważając, że płód już jest człowiekiem – choć będąc zdania, że jest on człowiekiem potencjalnym – ktoś taki bez problemu może akceptować dopuszczalność aborcji w pewnych sytuacjach – np. takich, w których zakazanie przerwania ciąży nakładałoby jakiś nieakceptowalnie duży ciężar na kobietę – np. wówczas, gdyby ceną za nieprzerwanie ciąży musiałyby być utrata przez nią zdrowia lub tym bardziej życia, bądź gdyby musiała być zmuszona do urodzenia dziecka poczętego w wyniku gwałtu, albo do urodzenia dziecka niezdolnego do życia, czy nawet zdolnego do życia, lecz opieka nad którym wymaga nadzwyczajnych poświęceń. Taka też – jak sądzę – może być rzeczywista filozofia leżąca u podłoża polskiej „ustawy antyaborcyjnej”. Niekoniecznie w tym sensie, by w ten sposób rozumowali posłowie, którzy w 1993 uchwalili tę ustawę. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie myśleli oni w taki sposób. Chodzi tylko o to, że jest to rozumowanie, w oparciu o które rozwiązania przyjęte w polskiej „ustawie antyaborcyjnej” dadzą się uzasadnić w sposób mający przysłowiowe ręce i nogi.

Ale czy może to być dobre uzasadnienie tego, że aborcja – nawet we wczesnym okresie ciąży – nie powinna być dopuszczalna z innych powodów, niż te, o których mówi (np.) obowiązująca w Polsce ustawa? Czy uzasadnieniem zakazu aborcji może być potencjalne człowieczeństwo i szansa na przyszłe życie – dobre życie – płodu?

To, że zabijany w wyniku aborcji płód jest potencjalnym człowiekiem – każdy, jak wspomniałem, zgodzi się co do tego, że jest on człowiekiem *co najmniej* potencjalnym – jest co najmniej po części powodem tego, dlaczego aborcja jest tak kontrowersyjnym moralnie zagadnieniem. Z faktu, że płód jest potencjalnym człowiekiem wynika, na zdrowy rozum, to, że aborcja jest rzeczą niemoralną – przynajmniej dla mnie coś takiego z niego wynika. Oczywiście, z tą niemoralnością aborcji to też nie jest jakaś prosta i bezdyskusyjna sprawa. Są przypadki, w których – w moim odczuciu – aborcja po prostu i zwyczajnie nie jest niemoralna. Tak jest np. wówczas, gdyby ceną za niewykonanie aborcji miałyby być to, że kobieta umrze, albo coś bardzo poważnego stanie się z jej zdrowiem – np. oślepnie, zostanie sparaliżowana itp. Dokładnie tak samo byłoby w przypadku, gdyby niewykonanie aborcji miało prowadzić do urodzenia zdeformowanego, niezdolnego do życia dziecka, albo obumarcia płodu jeszcze w macicy. W takich przypadkach to raczej odmowa wykonania u kobiety aborcji byłaby czymś niemoralnym.

Są również przypadki bardziej wątpliwe. Załóżmy, że kobieta jest w ciąży w wyniku której najprawdopodobniej urodzi się zdrowe, mające szansę na szczęśliwe życie dziecko, lecz znajduje się w trudnej sytuacji materialnej – np. jest samotna, nie ma pracy i żyje z zasiłku

socjalnego. Myślę, że wiele osób uznałoby decyzję takiej kobiety o przerwaniu ciąży za usprawiedliwioną, ale mogłoby się też znaleźć wiele takich, które miałyby w tej kwestii mniejsze lub większe wątpliwości (pomijam tu antyaborcyjnych fanatyków, dla których aborcja jest niemoralna w każdym jej przypadku). Wyobraźmy sobie wreszcie przypadek, że kobieta będąca w niepowodujących medycznych problemów ciąży postanawia ją przerwać np. dlatego, że po prostu chce się jeszcze przez ileś lat cieszyć swobodnym życiem, nie obciążonym trudami zajmowania się dzieckiem. Przypuszczam, że w odczuciu większości ludzi decyzja owej kobiety byłaby czymś moralnie wątpliwym i wzbudzającym niedobre uczucia. Wyobraźmy sobie wreszcie zupełnie ekstremalną – ale ponoć zdarzającą się, choć tylko wyjątkowo – sytuację: kobieta celowo zachodzi w ciążę, z podjętym z góry zamiarem jej przerwania. Ta ostatnia sytuacja to dla każdego mającego normalne odczucia człowieka jest po prostu moralny horror.

Pewne przypadki aborcji są więc niewątpliwie niemoralne – czasami nie w sposób oczywisty niemoralne, czasami jednak są niemoralne w sposób – jak myślę – praktycznie dla każdego oczywisty. Czy jednak aborcja w takich przypadkach, jak te, o których była powyżej mowa, powinna być zabroniona, a jej wykonanie zagrożone karą?

Moim zdaniem nie. Dlaczego? Otóż dlatego, że w szanującym wolności i prawa mieszkających w nim ludzi państwie czymś prawnie zabronionym powinny być tylko takie zachowania, które powodują, lub mogą spowodować krzywdę lub szkodę dla ludzi, lub ewentualnie innych, czujących i mogących cierpieć istot – ta ostatnia przesłanka uzasadnia zakaz np. okrutnego traktowania zwierząt. Nie powinno się natomiast zakazywać takiego czy innego postępowania tylko dlatego, że jakaś część społeczeństwa – choćby i nawet taka, która stanowi jego większość – z takich czy innych powodów, np. religii lub jeszcze czegoś innego, uznawała to postępowanie za moralnie naganne.

Czy w przypadku aborcji – w każdym razie aborcji we wczesnym okresie ciąży, w którym nie ma medycznych podstaw do wysuwania twierdzeń, że płód odczuwa jakiś ból wskutek zabiegu przerwania ciąży – można mówić o jakiejś szkodzie, którą może spowodować jej dokonanie (nie mówię tu oczywiście o szkodzie, jaką np. może wyrządzić kobiecie nieprofesjonalne wykonanie aborcji – zwolennicy dopuszczalności aborcji nie mają, o ile się orientuję, nic przeciwko przepisom ustanawiającym jakieś minimum sanitarnego bezpieczeństwa zabiegów przerwania ciąży)? Krótkie rozważania na ten temat chciałbym zacząć od kwestii szkody polegającej na wyrządzeniu abortowanemu płodowi krzywdy w postaci pozbawienia go możliwości przeżycia przynoszącego choćby minimum satysfakcji życia. A może nawet w postaci pozbawienia w ten sposób możliwych korzyści, jakie w wyniku ewentualnego przyszłego życia zabitego w następstwie aborcji płodu mogłoby wyniknąć dla społeczeństwa, narodu, czy nawet całej ludzkości. Czy możliwość wyrządzenia tego rodzaju szkód – z których pierwsza, chciałbym zauważyć, jest czymś, co z reguły występuje w przypadku aborcji (w każdym razie takiej aborcji, która nie jest dokonywana z takich powodów, jak względy medyczne) jest czymś, co powinno „ważyć” w dyskusji na temat dopuszczalności aborcji?

Próbując odpowiedzieć na tak postawione pytanie, postanowiłem zadać sobie pytanie pomocnicze – dotyczące mnie samego. Co by było, gdyby kiedyś, dość już w sumie dawno temu, moja Mama, zamiast donosić ciążę i urodzić mnie, postanowiłaby mnie zwyczajnie

wyskrobać (no, oczywiście, w życiu by tego nie zrobiła, choćby dlatego, że jest bardzo wierzącą katoliczką. Choć nie wiem, czy kiedyś była aż tak wierząca)? Gdyby tak się stało, to z pewnością nie miałbym życia takiego, jakie mam. Życia, w którym nie wszystko układa mi się tak, jakbym chciał, żeby się układało – nie układają się nawet pewne, powiedzmy, naprawdę ważne sprawy, ale które nie jest jakieś szczególnie nieszczęśliwe – w każdym razie jest szczęśliwe na tyle, że wolę żyć, niż nie żyć. Powiem też, odrobinę nieskromnie, że trochę też na hipotetycznym moim wyabortowaniu straciliby inni. Nie mieliby możliwości przeczytania moich – całkiem nienajgorszych, jak myślę – [tekstów](#). Nie mieliby możliwości posłuchania całkiem w moim odczuciu niezłej [muzyki](#), jaką nagrałem na swoim pianinie cyfrowym (bo w sumie, to ja muzykiem jestem z wykształcenia, i oczywiście muzyka jest jednym z moich głównych zainteresowań – choć publicznie nie wypowiadam się na jej temat). Oczywiście nie byłoby mojej super fajnej córeczki Amelki. Inni ludzie, śmiem twierdzić, odrobinę straciliby na tym, gdyby mnie – wskutek np. hipotetycznego poddania się przez moją Mamę zabiegowi aborcji – w ogóle nie było na świecie. Byłaby to jakaś szkoda? Według mnie – z mojego obecnego punktu widzenia – na pewno. Ale tu pojawia się dodatkowe pytanie. Czy może być szkoda coś, czym nikt się nie martwi i nawet nie może się martwić? Bo ja z pewnością nie martwiłbym się tym, że czegoś tam np. nie napisałem czy w ogóle nie zrobiłem, gdybym po prostu nie istniał. Nie ulega też żadnej wątpliwości, że nie martwiliby się też tym inni. Nie odczuwaliby żadnej pustki, żadnego braku z powodu mojego nieistnienia.

Jakiegoś rodzaju krzywdy wskutek hipotetycznego dokonania na mnie zabiegu aborcji mogłaby doznać moja Mama. Przeciwnicy dopuszczalności aborcji często wypowiadają twierdzenia, że przerwanie ciąży prowadzi do tzw. syndromu poaborcyjnego, czyli zespołu psychicznych, takich np. jak żal, poczucie winy i wstydu, depresja, poczucie lęku, obsesyjne myśli o zabitym dziecku, które to zdaniem niektórych ludzi są częstym, lub nawet nieuchronnym skutkiem dokonania aborcji.

Oдноśnie „syndromu poaborcyjnego” istnieją wątpliwości, czy u kobiet, które przerwały ciążę tego rodzaju zjawisko faktycznie występuje, a jeśli tak, to jak często (i z jakim nasileniem). W każdym razie, jak wynik z artykułu opublikowanego na ten temat w Wikipedii, większość badań naukowych bynajmniej nie potwierdza tezy o istnieniu takiego syndromu.

W [artykule w Wikipedii](#) można przeczytać, że „Naukowe i medyczne organy eksperckie wielokrotnie stwierdzały, że aborcja nie stanowi większego zagrożenia dla zdrowia psychicznego niż niechciana ciąża donoszona do terminu. W 2008 r. Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne stwierdziło, po dokonaniu przeglądu dostępnych dowodów, że wywołanie aborcji nie zwiększa ryzyka wystąpienia problemów ze zdrowiem psychicznym. W 2011 r. brytyjskie National Collaborating Centre for Mental Health podobnie stwierdziło, że przeprowadzenie po raz pierwszy aborcji w pierwszym trymestrze nie zwiększa ryzyka wystąpienia problemów ze zdrowiem psychicznym w porównaniu z zająciem w ciążę. Z kolei w 2018 r. National Academies of Sciences, Engineering, and Medicine stwierdziło, że aborcja nie prowadzi do depresji, lęku ani zespołu stresu pourazowego”.

We wspomnianym artykule napisane jest też, że „Istnieją badania, które pokazują, że przynajmniej niektóre kobiety wykazują istotne problemy ze zdrowiem psychicznym, które

zostały spowodowane lub nasilone przez ich aborcję. Dotyczy to przede wszystkim kobiet, które miały już wcześniej problemy ze zdrowiem psychicznym". Wskazane jest tam też jednak występowanie korelacji między jakością badań na temat problemów psychologicznych wynikających z aborcji, a stwierdzaniem takich problemów. Badania o wysokiej jakości, jak ustalono na podstawie przeglądu literatury medycznej dotyczącej aborcji o zdrowia psychicznego z 2008 r. konsekwentnie wykazywały niewiele lub nie wykazywały żadnych konsekwencji dla zdrowia psychicznego wynikających z aborcji. W wyniku wspomnianego przeglądu ustalono też, że są i takie badania, które wykazują większe prawdopodobieństwo pojawienia się negatywnych konsekwencji przerwania ciąży. Były to jednak takie badania, których jakość pozostawiała sporo do życzenia.

Istnienie czegoś takiego jak „syndrom poaborcyjny” jest więc czymś nader wątpliwym. Kolokwialnie wyrażając się można stwierdzić, że cały ten „syndrom poaborcyjny” to po prostu jedna wielka ściema. Lecz gdyby nawet twierdzenia o „syndromie poaborcyjnym” były prawdziwe, to możliwość – czy choćby nawet i pewność – występowania takiego syndromu nie usprawiedliwiałoby – moim zdaniem – zakazywania aborcji. Dlaczego? Otóż dlatego, że zakazywanie aborcji z tego właśnie powodu byłoby niczym innym, jak po prostu paternalizmem. Czyli zakazywaniem ludziom robienia pewnych rzeczy ze względu na dobro ich samych. Tymczasem szanujące wolności i prawa człowieka państwo, jeśli czegoś powinno ludziom zabraniać, które krzywdzą – czy mogą spowodować krzywdę – innych. Nie takich, których mogą żałować tylko ci ludzie, którzy tych czynów dokonali.

Przyzwolenie na to, by państwo mogło zabraniać ludziom pewnych zachowań z tego powodu, że zachowania te mogą mieć dla nich szkodliwe konsekwencje jest rzeczą niebezpieczną. Wiele rzeczy może mieć – czasem przynajmniej – takie konsekwencje. Może mieć je np. sport wyczynowy – prowadzi on czasem do wypadków, nawet takich, które mają tragiczne konsekwencje. Czy z powodu tego, że wyczynowy sport miewa – choć zgoda oczywiście, że bardzo rzadko – takie konsekwencje należy np. zabronić prowadzenia klubów służących uprawianiu takiego sportu, bądź sprzedawania czy wyposażania sprzętu sportowego? Celowo wskazuję tu na sport wyczynowy (a w szczególności na takie jego dziedziny, jak np. sztuki walki – choć nie tylko – wskazać można choćby kolarstwo – pamiętamy chyba naprawdę koszmarny wypadek holenderskiego kolarza Fabio Jakobsena podczas Tour de Polonge) bo nie jest on czymś, co jest jakąś oczywistą i niezbędną częścią normalnego życia – oczywiście, można się np. potknąć i wskutek tego się zabić, lecz z pewnością nikomu nie przychodzi do głowy pomysł, by z powodu takiego niebezpieczeństwa związanego z poruszeniem się zabronić ludziom chodzenia po ulicach. Spożywanie dużej ilości cukru może mieć konsekwencje w postaci cukrzycy czy otyłości (albo jednego i drugiego) – czy cukier powinien być więc w związku z tym nielegalny, albo przynajmniej jakoś specjalnie reglamentowany? Brak ruchu też może mieć złe skutki – czy należy więc w związku z tym, za pomocą grożenia np. jakimiś karami, przymuszać ludzi do biegania, jeżdżenia na rowerze, czy choćby spacerów? Te wszystkie pytania wydają się kompletnie absurdalne – wprowadzanie wspomnianego rodzaju regulacji nikomu nie przychodzi do głowy. Przestają być jednak one aż tak bardzo absurdalne, jeśli uznaje się, że państwo powinno mieć prawo do tego, by uniemożliwić ludziom robienie pewnych rzeczy ze względu na dobro ich samych. Takim właśnie uniemożliwieniem – czy próbą uniemożliwienia (bo

państwo przecież nigdy nie uniemożliwi wszelkich działań, których chciałoby uniemożliwić – może tylko, np. zakazując takich działań, próbować to zrobić) pewnych zachowań ze względu na dobro ludzi, którzy się tych zachowań dopuszczają byłoby zakazanie aborcji z tego powodu, że może ona wywoływać jakieś szkodliwe następstwa psychiczne u kobiet, które poddały się zabiegowi przerwania ciąży. Gdyby twierdzenie o występowaniu syndromu aborcyjnego było prawdziwe, byłby to oczywiście powód do ostrzegania przed nim kobiet, które chcą przerwać ciążę. Do mówienia im: zastanów się dobrze nad tym, co chcesz zrobić, żebyś potem tego nie żałowała. Mógłby to być nawet powód do obowiązkowego ostrzegania przed tym syndromem kobiet, które chcą dokonania u nich aborcji. Ale nie mógłby to być – w szanującym prawa i wolności jednostki państwie – być powód do po prostu zakazania aborcji.

Podstawą zakazu aborcji nie może być więc ani „szkoda” spowodowana uniemożliwieniem komuś przeżycia jego – być może wartościowego dla niego i dla innych – życia wskutek przerwania tego życia u jego zarania w następstwie zabiegu przerwania ciąży, ani – trzeba powiedzieć, że nader wątpliwa (co nie znaczy, że na pewno wykluczona) możliwość zaistnienia „syndromu poaborcyjnego” u kobiety, która przeszła zabieg aborcji. To są jednak, można tak powiedzieć, negatywne przesłanki zakazu aborcji. Wskazują ona na to, z jakich powodów aborcja nie powinna być zakazana. Czy można wskazać na jakieś pozytywne przesłanki prawa do aborcji, czyli powody, dla których powinna być ona prawnie dozwolona?

Otóż, zostało tu już na ten temat z pewnością sporo powiedziane. Stwierdzone zostało np. to, że prawo nie powinno zabraniać czynów po prostu niemoralnych, lecz wyłącznie czynów szkodliwych – powodujących, czy mogących spowodować krzywdę dla ludzi, bądź innych czujących istot.

To, że prawo powinno zabraniać wyłącznie takich czynów, to nie znaczy, że powinno zabraniać wyłącznie fizycznego krzywdzenia ludzi, czy też zwierząt (odnośnie tych ostatnich nie twierdzą, że ich zabijanie czy wykorzystywanie powinno być po prostu zabronione. Twierdzą jedynie, że jest czymś uzasadnionym prawne regulowanie zabijania i wykorzystywania zwierząt w celu zapobiegania wyrządzaniu im niepotrzebnych i nadmiernych cierpień). Z pewnością uzasadnione jest zakazywanie np. zaboru czy niszczenia fizycznej, nieożywionej własności – mimo, iż jest rzeczą oczywistą, że taka własność nic nie czuje i cierpieć wskutek np. jej uszkodzenia w żaden sposób nie może. Lecz z pewnością wskutek zniszczenia czy kradzieży fizycznej własności mogą cierpieć ludzie, dla których owa własność jest czymś ważnym. Z pewnością uzasadnione jest zakazywanie niszczenia przyrody, w tym także przyrody nieożywionej, także wówczas, gdy nie stanowi ona własności żadnych konkretnych osób – ale to jednak ze względu, jakie znaczenie owa przyroda, w tym także nieożywiona przyroda ma dla ludzi, czy dla zwierząt.

Ludzkie płody z pewnością nie są fizycznymi przedmiotami – takimi, jak stoły, samochody, komputery, lampy itd. Nie są też np. głazami narzutowymi, skałami, rzekami – czy już tym bardziej powietrzem – którego zatrucie w stopniu, który nie wynika z życiowych konieczności, takich, jak np. używanie samochodów (które oczywiście powinny mieć zabezpieczenia przed nadmierną emisją spalin) czy działanie energetyki (elektrownie zanieczyszczają powietrze i emitują dwutlenek węgla, który przyczynia się – tak się w każdym razie twierdzi, z tymi twierdzeniami nie będę tu polemizował – do potęgowania efektu cieplarnianego – ale nikt chyba nie chce tego, by w jego domu nie było prądu i by w

zimie nie grzały kaloryfery) powinno być oczywiście zabronione. Płody z pewnością są żywymi istotami – można się spierać, czy są one już ludźmi, czy jeszcze nimi nie są – w tej kwestii istnieją różne, mające nawet racjonalne przesłanki, lecz nie do końca dające się logicznie uzasadnić przekonania (gwoli przykładu – krytykowałem tu pogląd, że np. zygota jest człowiekiem, odwołując się np. do tzw. paradoksu łysego, lecz jednocześnie stwierdziłem – co dla wszystkich jest chyba oczywistym faktem, że mające się urodzić za np. dzień dziecko niczym istotnym nie różni się od noworodka, co do którego nie ma chyba wątpliwości, że jest on człowiekiem – z czego logicznie rzecz biorąc wynika, że człowiekiem jest także mające się lada dzień urodzić dziecko – lecz jeśli oba moje twierdzenia są prawdziwe, to kiedy rozwijający się w macicy kobiety płód staje się człowiekiem? Moim zdaniem staje się nim stopniowo – jest to uważam, opinia dająca się logicznie uzasadnić, lecz mimo wszystko zdaję sobie dobrze sprawę z tego, że nie jest to opinia podzielana przez wszystkich) – z pewnością jednak są one istotami, które mają szanse na stanie się ludźmi, jeśli nie przerwie się ich życia wskutek np. aborcji.

Lecz niezależnie od tego, czym są płody – czy są ludźmi, czy nie są ludźmi, czy może są potencjalnymi ludźmi, albo nierozwiniętymi ludźmi lub rozwijającymi się ludźmi – trzeba o płodach powiedzieć jedno: płody nie mają planów, marzeń, dążeń, obaw. Nie odczuwają strachu o swoją ewentualną przyszłość. Jak już wspomniałem wcześniej, to, co się z nimi stanie – czy np. zostaną wyabortowane czy też nie – im najogólniej mówiąc wisi. Płody po prostu nie mają *aktualnych* interesów. Lecz aktualne interesy z pewnością mają kobiety będące w ciąży. Jeśli tak jest, to względem aktualnych interesów kobiet powinien, jeśli chodzi o kwestię dopuszczalności aborcji przeważać nad względem na czysto potencjalny i hipotetyczny interes płodu w postaci urodzenia się i przeżycia wartościowego dla siebie i innych życia. I tak jeszcze odnośnie owego – potencjalnego – interesu płodu. Jest oczywiście rzeczą możliwą, że płód urodzi się jako dziecko i stanie się człowiekiem mającym nadzwyczaj udane życie – ba, może nawet kimś szczególnie wybitnym. Ale są też sytuacje w których jest 100% pewne, że płód, jeśli będzie miał jakieś życie po urodzeniu, to będzie to życie będące jednym wielkim pasmem cierpień. Tak jest w przypadku płodów mających jakieś ciężkie uszkodzenia. W przypadku takich nieszczęsnych istot z powodzeniem można argumentować, że w ich interesie jest bardziej nieurodzenie, niż urodzenie się. Odnośnie dzieci, które najogólniej rzecz biorąc są zdrowe, ale są po prostu niechciane – tak, że tylko zakaz aborcji (zakładając jego skuteczność) powstrzymuje pozabawienie ich życia jeszcze przed urodzeniem, sprawa jest bardziej śliska. Takie osoby mogą mieć wartościowe dla siebie – i dodajmy, że także dla innych – życie. Ale jest duże prawdopodobieństwo, że nie będą go miały, z racji po prostu odrzucenia. Tak więc również w przypadku absolutnie nieuszkodzonych płodów argument o ich potencjalnym interesie w postaci możliwości przeżycia wartościowego życia jest, jako ewentualny argument za zakazem przerywania życia takich płodów, mocno iluzoryczny. Oczywiście fakt, że płód z bardzo dużym prawdopodobieństwem jest przyszłym człowiekiem tłumaczy to, dlaczego aborcja jest tak wyjątkowo kontrowersyjną sprawą. Z tego, że w przypadku aborcji mamy do czynienia z pozabawieniem życia prawdopodobnego przyszłego człowieka wynika to, że aborcja jest – generalnie rzecz biorąc – czymś moralnie wątpliwym, lub – to też z powodzeniem można twierdzić – po prostu niemoralnym. Lecz prawo obowiązujące w szanującym prawa i

wolności jednostki państwie nie powinno zabraniać zachowań niemoralnych, lecz jedynie szkodliwych, krzywdzących dla innych. Jakby aborcja nie była niemoralna, zakaz aborcji wyrządza o wiele większą krzywdę chcącej jej z takich czy innych względów dokonać kobiecie, niż sama aborcja wyrządza nieodczuwającemu nawet swego istnienia i mającemu co najwyżej czysto potencjalne i hipotetyczne interesy płodowi.

To w każdym razie jest moje rozumowanie. Czy jednak taka argumentacja, jaką tu przedstawiłem może dotrzeć do ludzi mających inne od mojego zdanie w kwestii prawnej dopuszczalności aborcji?

Odnosnie tego pytania, myślę, że spokojnie można powiedzieć, że jest zupełnie nieprawdopodobne, by dotarła ona do jakichś antyaborcyjnych fanatyków – takich, którzy chcieliby zmusić kobiety do rodzenia np. płodów niemających mózgu. Rozumowanie takich ludzi jest – jak je rozumiem – proste: życie – a w każdym razie życie poczęte – jest święte. Człowiek nie ma prawa decydować o tym, kto będzie żył, a kto nie – bo o tym może decydować tylko Bóg. Lecz z całym szacunkiem dla takiego rozumowania: jego zwolennicy chcieliby zakazać zabijania – w postaci dokonywania aborcji – istot, których poziom umysłowy nigdy nie sięgnie poziomu krowy, świni, czy może nawet ryby (przy okazji, może to wcale nie jest dobre porównanie, gdyż są dowody na to, że ryby nie są bynajmniej głupie – zob. np. <https://rybanapiatek.wordpress.com/tag/inteligencja/>) – bo tak jest w przypadku płodu pozbawionego mózgu. Czy, logicznie rzecz biorąc, nie powinni być oni zwolennikami absolutnego wegetarianizmu? Odnosnie tego, czy są, to tego nie wiem – może niektórzy tak – ale odnośnie większości takich osób spokojnie można powiedzieć, że pytanie o to, czy opowiadają się oni za absolutnym wegetarianizmem – i czy oczywiście praktykują go – jest pytaniem czysto retorycznym. Ale, powiedzmy, że ludzie, o których tu mowa, przejmują się tylko życiem ludzkim – motywując to (np.) tym, że Bóg stworzył Człowieka na Swoj obraz i podobieństwo – a inne żyjące na Ziemi istoty już nie. Lecz nawet jeśli ktoś uważa, że tylko życie ludzkie jest warte szczególnej ochrony – i jest przy tym zwolennikiem zakazu aborcji w imię ochrony ludzkiego życia – to przyzna chyba – lub przynajmniej powinien przyznać - że na ochronę zasługuje nie tylko życie poczęte, ale także to już urodzone. I tu jest pytanie do tzw. obrońców życia. Czy interesują się oni w ogóle ochroną życia poza kontekstem aborcji – i ewentualnie eutanazji? Czy interesuje ich to, by ludzie żyli jak najdłużej i jak w najlepszym zdrowiu – i by na osiągnięcie tego celu przeznaczano możliwie dużo środków i wydatkowano je możliwie jak najlepiej? Czy interesuje ich np. zapewnienie możliwie najlepszej opieki medycznej bardzo małym, ale już urodzonym dzieciom, których zdrowie i życie jest zagrożone (co byłoby, chciałbym zauważyć, tematyką stosunkowo najbliższą tematyce ochrony „życia poczętego”)? Aby spróbować odpowiedzieć na tego rodzaju pytania wszedłem na coś, co nazywa się „[Strona Życia](#)” i jest serwisem internetowym Fundacji Pro – Prawo do Życia. I co tam można znaleźć? Oczywiście, domaganie się opublikowania wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji „eugenicznej”. Żądanie od prezydenta A. Dudy wycofania z Sejmu jego projektu przewidującego dopuszczalność aborcji w przypadku, jeśli płód posiada wady wrodzone prowadzące do niechybnej jego śmierci jeszcze przed urodzeniem, lub niedługo po nim – i potępienie tego projektu. Jest lansowana zmiana kodeksu karnego mająca polegać na publicznym propagowaniu lub pochwalaniu podejmowania przez małoletniego obcowania płciowego, a także propagowania lub pochwalania podejmowania

przez małoletniego obcowania płciowego lub innej czynności seksualnej przez kogoś, kto działa w związku z zajmowaniem stanowiska, wykonywaniem zawodu lub działalności związanych z wychowaniem, edukacją, leczeniem małoletnich lub opieką nad nimi, bądź dokonuje takiego czynu na terenie szkoły lub innego zakładu lub placówki oświatowo-wychowawczej lub opiekuńczej. Jest żądanie zaprzestania wspierania LGBT przez władze Warszawy. Na temat problemów, o których powyżej wspomniałem, nie ma ani słóweczka. Powstaje w związku z tym następujące pytanie: czy nazywanie się przez ludzi, o których była tu mowa „obrońcami życia” nie jest przypadkiem zwykłą obłudą?

Oczywiście, odpowiedź na te pytania, które postawiłem we wcześniejszym akapicie bez wątplenia nie jest prosta. Nie można na nie odpowiedzieć na przysłowiowy zdrowy chłopski rozum, czy stosując po prostu zasady logiki. Na takich rzeczach, o których powyżej wspomniałem, trzeba się po prostu cokolwiek znać. Lecz jak już wspomniałem, na stronie o której była powyżej mowa, nie ma śladu zainteresowania wspomnianymi problemami.

I jeszcze jedno trzeba powiedzieć o „świętości życia” na którą często powołują się zwolennicy zakazu aborcji, a także niedopuszczalności eutanazji. Życie ludzkie jest – nikt chyba temu nie zaprzeczy – olbrzymią wartością, zasługującą na szczególną ochronę. Lecz nie jest ono mimo wszystko aż taką wartością, by wszelkie inne wartości przestawały się wobec niego liczyć. Widać to choćby na banalnym przykładzie, jakim jest transport. Ilu ludzi każdego roku w Polsce – a także w innych krajach – ginie w wypadkach drogowych? Przecież to są tysiące (w 2019 r. w wypadkach drogowych zginęło w Polsce 2897 osób). Gdyby zakazać produkcji, sprzedaży i używania samochodów, liczba ofiar wypadków drogowych spadałaby jeśli nie po prostu do zera, to zapewne jakiejś niewielkiej liczby. Powie ktoś, że samochody czasem przyczyniają się do ratowania ludzkiego życia – podając jako przykład karetki pogotowia, czy wozy policji lub straży pożarnej. No dobrze, to w takim razie dopuścimy do ruchu – w drodze wyjątku – te pojazdy. I może jeszcze dopuścimy pojazdy zapewniające transport niezbędnych towarów, czy przewóz pracowników do pracy – lecz zabrońmy ludziom jeżdżenia samochodami ot, tak, gdzie sobie chcą – może do cioci, może do wujka, może nad morze, a może w góry, itd. Nikt tego nie proponuje? To znaczy tyle, że ludzkie życie nie jest przez znakomitą większość społeczeństwa uznawane za taką wartość, wobec której wszelkie inne wartości przestają mieć znaczenie – w tym nawet takie wartości, jak czyjaś przyjemność z jazdy samochodem, czy możliwość dotarcia gdzieś w kilka godzin, zamiast np. kilku, czy kilkunastu dni.

Wreszcie, warto również powiedzieć, do czego w praktyce prowadzi zakaz aborcji. Dowodzą tego choćby doświadczenia Rumunii, w której komunistyczny dyktator Nicolae Ceausescu w 1966 r. wprowadził dekret ograniczający dopuszczalność aborcji do przypadków, gdy:

- ciąża stanowi zagrożenie dla życia matki, którego nie można odsunąć innymi środkami
- dziecko poczęte pochodzi z rodziny obciążonej genetycznie
- kobieta ciężarna jest upośledzona fizycznie lub psychicznie i ciąża powstała w wyniku przestępstwa
- kobieta ciężarna ma więcej niż 45 lat (w 1972 obniżono do 40 lat i ponownie zwiększono w 1984 roku do 42 lat)
- kobieta ciężarna urodziła czwórkę lub więcej dzieci pozostających pod jej opieką

Skutki owego dekretu? Jak można przeczytać w opublikowanym w opublikowanym w „Gazecie Wyborczej” artykule Małgorzaty Rejmer [„Dwadzieścia trzy lata piekła kobiet. Oto, czym skończył się w Rumunii całkowity zakaz aborcji”](#) od 1966 do 1989 r. powodu powikłań po nieudanej aborcji zmarło w Rumunii od dziewięciu i pół tysiąca do dziesięciu tysięcy kobiet. Tak wynika z oficjalnych statystyk, ale zdaniem wielu zachodnich badaczy liczby te są zaniżone.

Należy też zauważyć jedno: nie ma dowodów na to, że zakaz aborcji zapobiega samym aborcjom. Wskazują na to choćby opublikowane w maju 2016 r. przez prestiżowy brytyjski tygodnik medyczny „The Lancet” wyniki badań prowadzonych przez WHO (Światową Organizację) w których porównano liczbę wykonywanych aborcji w latach 1990-1994 i 2010-2014. Jednym z wniosków wynikających z tego badania było to, że w krajach, gdzie aborcja jest zakazana lub dozwolona tylko wtedy, gdy zagrożone jest życie matki dokonuje się przeciętnie 37 aborcji na 1000 kobiet. W krajach, gdzie aborcja jest dozwolona na życzenie – przeciętnie 34 zabiegi na 1000 kobiet. Różnica ta, trzeba powiedzieć, nie jest duża i nie wynika z niej np. to, by zakaz aborcji prowadził do jakiegoś drastycznego wzrostu liczby samych aborcji. Niemniej jednak z danych WHO wynika, że w krajach mających restrykcyjne ustawodawstwo w kwestii dopuszczalności aborcji, samych aborcji zdarza się, średnio rzecz biorąc, nieco więcej, niż w krajach, w których prawo jest w tym względzie liberalne. Co wynika z tego na pewno, to to, że zakaz aborcji nie zmniejsza liczby samych aborcji. Ponadto, według wspomnianego raportu w Afryce i w Ameryce Łacińskiej, gdzie aborcja jest całkowicie zakazana lub zakazana z wyjątkami, liczba aborcji (na 1000 kobiet) wzrosła w latach 2010-2014 w stosunku do lat 1990-1994, zaś w Europie, w Ameryce Północnej i w Azji, gdzie prawo jest liberalne, liczba aborcji (na 1000 kobiet) spadła w latach 2010-2014 w stosunku do lat 1990-1994. Regionem świata, w którym w latach 1990 – 2010 nastąpił największy spadek liczby aborcji były kraje Europy Wschodniej, z których wszystkie – poza Polską – albo zliberalizowały swoje ustawodawstwo aborcyjne, albo utrzymały permisywne w tym względzie przepisy obowiązujące jeszcze „za komuny”, a w których duża liczba aborcji, jaka występowała w nich przed 1989 rokiem była wynikiem głównie z braku dostępu do skutecznej antykoncepcji. W regionie tym we wspomnianym okresie liczba aborcji przypadająca rocznie na statystyczny 1000 kobiet spadła we wspomnianym okresie od 88 do 42. Wyjątkowe wprost zmniejszenie się liczby aborcji nastąpiło w Rumunii, gdzie praktycznie natychmiast po obaleniu i rozstrzelaniu Nicolae Ceausecu zniesiono restrykcyjne prawo dotyczące aborcji i wprowadzono dopuszczalność przerwania ciąży na żądanie kobiety, o ile ciąża nie przekracza 14 tygodni. W kraju tym, jak wynika z [artykułu w anglojęzycznej Wikipedii na temat aborcji w Rumunii](#), w latach 1990 – 2018 liczba aborcji zmniejszyła się w tym kraju od ok 992 265 do 52 318 – i spadek liczby aborcji był we wspomnianym okresie niemal stały – poza 2011 r. kiedy to odnotowano nieco więcej aborcji (103 383) niż w roku 2010 (101 271) w żadnym innym roku nie było większej liczby aborcji, niż w roku go poprzedzającym.

Nie od rzeczy będzie też zauważyć, że – jak w swoim artykule [„Zakaz nie zmniejsza liczby aborcji. W Europie i Ameryce Północnej liczba aborcji spada, w Ameryce Południowej – rośnie”](#) (z którego zaczerpnąłem też podane we wcześniejszym akapicie informacje – z niewielką poprawką, w oparciu o Wikipedię, odnośnie liczby aborcji w Rumunii) napisała

Magdalena Chrzczonowicz w krajach Europy Północnej statystyczna liczba aborcji na 1000 kobiet wynosi 18 rocznie. Jeszcze mniejsza – choć tylko minimalnie – jest liczba aborcji w Ameryce Północnej – czyli w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, gdzie na 1000 kobiet w latach 2010 – 2014 przypadało rocznie 17 aborcji i gdzie aborcją kończyło się ok. 17% ciąż, co było najmniejszą wartością na świecie – liczby aborcji zmniejszyły się przy tym, choć tylko w sposób nieznaczny, w stosunku do lat 1990 – 1994.

Ponadto, według danych przedstawionych w artykule Magdaleny Chrzczonowicz w Europie, gdzie prawo dotyczące aborcji jest, poza niewielkimi wyjątkami (Polska, Malta, do niedawna Irlandia i oczywiście Watykan) liberalne liczba aborcji w latach 2010 – 2014 spadła w porównaniu z latami 1990 – 1994 52 do 30 aborcji rocznie na 1000 kobiet. Zupełnie coś innego stało się w krajach Ameryki Łacińskiej, gdzie aborcja tylko w Urugwaju, Gujanie, Gujanie Francuskiej, na Kubie oraz niektórych wyspach Morza Karaibskiego dopuszczalna jest początkowym okresie ciąży na żądanie kobiety, a gdzie ponadto w Brazylii, Chile i Kolumbii aborcja jest prawnie dopuszczalna mniej więcej w tym samym zakresie, co w Polsce i gdzie pozostałe kraje mają jeszcze dalej idące restrykcje dotyczące aborcji – a niektóre z nich, jak Salwador i Nikaragua – nie dopuszczają aborcji w jakimkolwiek przypadku, włącznie z zagrożeniem życia kobiety. W krajach tych liczba aborcji w latach 2010 – 2014 wzrosła w porównaniu z latami 1990 – 1994 od 40 do 44 rocznie na statystyczny tysiąc kobiet. Zauważyć można, że przypadająca na 1000 kobiet liczba aborcji była w tych krajach w latach 2010 – 2014 o 14 wyższa (1,46 razy) niż ogólnie rzecz biorąc w Europie, o 26 (1,44 razy) wyższa, niż w Europie Północnej i o 27 wyższa (2,29 razy) niż w Ameryce Północnej. O zakazach aborcji trzeba więc powiedzieć jedno: zakazy te po prostu nie działają – na pewno nie działają tak, jak życzyliby sobie zwolennicy takich zakazów. I od uświadomienia sobie tego faktu należałoby może zacząć całą dyskusję o potrzebie, czy też braku potrzeby zakazu aborcji.

[Strona główna](#)

